

# Poznaj Świat

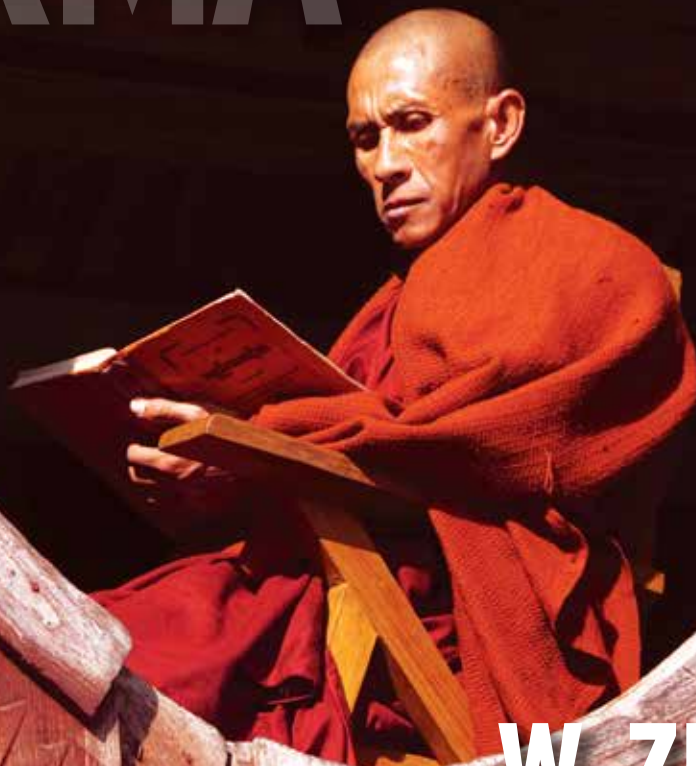
Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

8  
2011

## BIRMA

Albiński, Mazurek, Rosiak  
W numerze:  
Albiński, Mazurek, Rosiak



str. 100

Jędrzej Majka  
**SYCYLIA**

str. 58

Dominika Zaręba  
**GWATEMALA**

str. 82

Grzegorz Krzyżostaniak  
**MADAGASKAR**

str. 18

## W ŻŁOTYM TRÓJKĄCIE

Rafał Glonek

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



www.meindl.pl

# MEINDL

## Z szacunku dla gór



Air Revolution 5.3



Engadin MFS



Piz Palü GTX





Birna str. 18



Turkmenistan str. 90



USA str. 50



Rwanda str. 66



Rumunia str. 74

**NASZ ŚWIAT** FotoForum Czytelników str. 4

**DOKTOR W ZUZULANDZIE** str. 14

Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego**

**W ŻŁOTYM TRÓJKĄCIE** str. 18

Lud Szan stanowi najliczniejszą birmańską mniejszość.  
**Przemysław Kozłowski**

**NAVIGATOR** str. 29

**KRAINA UŚMIECHU** str. 34

Uśmiech jest wizytówką Etiopii. Za tym się tęskni,  
wyjeżdżając stąd. **Marcin Kołpanowicz**

**MAZUREK NA WYNOS** str. 42

felieton **Roberta Mazurka**

**GEOSKOP** str. 44

**INDIANIE, KASYNA, ŁOSOSIE...** str. 50

Dobrym duchem miasteczka Joseph w stanie Oregono  
jest Indianin „chief” Joseph. **Józef Baran**

**RZKA PERŁOWA I HISTORIA SŁOIKA DO DŻEMU** str. 56

felieton **Edwarda Kajańskiego**

**W POSZUKIWANIU DETALI** str. 58

Symbole, kolory i kształty Ziemi Majów.  
**Dominika Zaręba**

**SPOKÓJ I POSTĘP POD FALISTĄ BLACHĄ** str. 66

W północnej Rwandzie góruje wulkan Muhabura. **Dariusz Rosiak**

**TU SIĘ ŚPIEWA PO POLSKU** str. 74

Polacy w Rumuni żyją głównie na Bukowinie. **Przemysław Kozłowski**

**NA TROPACH MALGASKIEGO HOBBITA** str. 82

We wschodnim Madagaskarze misjonarz odwiedza górskie wioski  
ludu Betsimisaraka. **Grzegorz Krzyżostaniak**

**JAK NAS WIDZĄ** str. 89

Spotkanie z **Haytham Shehadehem**, przewodnikiem z Syrii

**ROWEREM PO JEDWABNYM SZLAKU** str. 90

W Turkmenistanie turystyczną wizę dostaje się razem  
z przewodnikiem. **Anna i Robert Robb Maciąg**

**PLASTIC IS FANTASTIC** str. 98

felieton **Agnieszki Bartusiak**

**SYCYLIJSKI OBRAZEK** str. 100

Na pierwszy rzut oka Cefalu nie przypomina kurortu. **Jędrzej Majka**

**POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI** str. 107

Spotkanie z **Piotrem Gąsowskim**

**BISKUPIE KSIĘSTWO** str. 108

Na Warmii przeszłość spleta się z terażniejszością. **Marek Kotlarz**

**KAJAKAMI W ZACHODNIH FIORDACH** str. 112

Islandzki Horn opłynęła grupka Bydgoszczan.  
**Marek Weckwerth**

**OUTDOOR** str. 116

**POLSKA, KTÓREJ NIE MA** str. 120



NA OKŁADCE:  
Birna – kraina  
świętyń i pałaców.

# KONKURS!

## Poznaj Świat i napisz

Wydawca Miesięcznika "Poznaj Świat" wysyła w świat trzech najlepszych autorów!  
Wręcza globus,

# 10 tysięcy złotych

i oczekuje relacji.

### Co należy zrobić, by znaleźć się w tym gronie ?

#### Zasady są proste.

1. Należy przesać do redakcji Miesięcznika "Poznaj Świat" ciekawy tekst, będący zapisem własnej podróży odbytej w okresie styczeń 2011 - styczeń 2012.
2. Dołączyć fotografie z wyjazdu.
3. Uzyskać publikację tego tekstu w Miesięczniku "Poznaj Świat" w numerze wrześniowym, październikowym, listopadowym, grudniowym bieżącego roku lub styczniowym a najpóźniej lutym roku przyszłego. W tym celu należy przejść procedurę kwalifikującą tekst do publikacji przez Redakcję oraz zawrzeć z Wydawcą umowę.
4. Poddać się osądowi Czytelników, którzy w marcu 2012 r. wezmą udział w internetowym głosowaniu na trzy najlepsze artykuły publikowane w Miesięczniku "Poznaj Świat" w okresie wrzesień 2011- luty 2012.
5. W głosowaniu Czytelników zdobyć jeden z trzech najlepszych wyników.
6. Zgłosić się do Wydawcy, ustalić z nim termin i kraj wyjazdu. Odebrać globus i 10 tys. złotych.
7. Odebrać globus i 10 tys. złotych.
8. Napisać dla Miesięcznika "Poznaj Świat" ciekawą relację z podróży.

Alicja Figiel

NORWEGIA

## Mokre siostry

Siedem strumieni Wodospadu Siedmiu Sióstr wpada do fiordu Geiranger. Aby się tu dostać, o mało nie straciliśmy kajaka. Śliska platforma nie pozwalała utrzymać równowagi. Mogliśmy wylądować w lodowatym fiordzie.





Roman Rojek

## Rewolucja na schodach

Symbolem Odessy są schody liczące obecnie 192 stopnie. To na nich w 1925 roku Siergiej Eisenstein, reżyser filmu „Pancernik Potiomkin”, nakręcił słynną scenę masakry.

Do Odessy można się dostać codziennym bezpośrednim LOTem z Warszawy o godzinie 11.05.

Piotr Adamiuk

## ETIOPIA Odśnieżyć Etiopię!

W czerwcu 2011 roku zima zaskoczyła drogowców w Addis Abebie. Na szczęście, opady były niewielkie.



Agnieszka Wasilewska-Kardyś

MAROKO

## Strażnik pustyni

Grobowiec Marabuta w pobliżu Ait Benhaddou w Maroku zapewne przetrwa jeszcze i tę burzę.





Przemek Bartnicki

INDONEZJA

## Czemu cieniu w dół idziesz?

Tym razem, aby uwiecznić obecność na wulkanie Gunung Rinjani, zrobiłem zdjęcie swojego cienia.





Anna Kwidzyńska

IZRAEL

## Leczenie wodą Dawida

Gorące źródła w Parku Narodowym Ein Gedi, w południowym Izraelu mają właściwości lecznicze. W to nie wątpię.

Nie są jednak gorące. Wody spływające wodospadem Dawida do studni Dawida są zaledwie letnie.

Andrzej Wojciechowski

POLSKA

## Independence Day 2

Taki Pałac Kultury mógłby zagrać główną rolę w kultowym filmie science fiction. Wszystko przed nim.



Paweł Bielecki

POLSKA

## Giewont

Z każdej strony piękny!

Uwaga, tegoroczni maturzyści: wysokość nad poziomem morza wynosi 1.895 metrów.



Andrzej Nierobis

WIETNAM

## Szarża w ryżu

...to się nie zdarza.

W południowym Wietnamie do dziś bawoły wykorzystywane są do pracy w polu. A po pracy ułatwiają powrót do domu.



**Przyślij zdjęcie!** Na nasz adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl) przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: [www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl). Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





FOT. MICHAŁ KOCHANCZYK

Roman Warszawski

# ...a ryby płaczą w Ukajali

**Celina Mróz i Jarosław Frąckiewicz – gdańscy kajakarze, którzy zginęli, zamordowani podczas spływu rzeką Ukajali – byli dobrze znani nie tylko wśród podróżników. Od dwudziestu lat wspólnie kajakowali po rzekach Azji, Afryki i Europy. Ich prezentacje z podróży, przedstawiane podczas gdyńskich Ogólnopolskich Spotkań Podróżników „Kolosa”, kilkakrotnie wyróżniane były Nagrodą Publiczności.**

**Trudno uwierzyć, że osoby tak otwarte i życzliwe w taki sposób zakończyły życie.**

**Jak mogło dojść do tragedii, próbuje wyjaśnić Roman Warszawski, dziennikarz i pisarz, który wielokrotnie odwiedzał peruwiańskich Indian.**

Znam okolice Atalaya, w których rozegrał się dramat polskich kajakarzy, zabitych przez Indianina z plemienia Ashaninka. Byłem tam w 2000 roku w czasie wyprawy, która dotarła do górnego biegu rzeki Pini-Pini. To jeden z najniebezpieczniejszych rejonów w Peru. Taki, w którym biały ma prawo czuć się zagrożony. Tutaj jak w soczewce skupiają się wszystkie najważniejsze, nierozwiązane problemy tego kraju.

Przede wszystkim, nie ma jednego Peru. Są trzy wielkie, ułożone południkowo regiony: wybrzeże (costa), góry (sierra) i dżungla (selwa). Każdy od pozostałych dwóch różni się tak, jak różne są ogień i woda.

Wybrzeże jest ucylizowane. Są tam drogi, miasta, porty. Tam też skupiona jest większość uniwersytetów i placówek naukowych. W większości

zamieszkiwane jest przez Kreolów i Metysów; niewiele jest tam rdzennych Indian.

Góry są trudno dostępne i z rzadka tylko przecinają je drogi. To tu zachowało się najwięcej bezcennych inkaskich zabytków.

Natomiast dżungla to obszar całkowicie pozbawiony dróg, gdzie jedynymi szlakami komunikacyjnymi są rzeki. To ziemia zamieszkaana przez rozproszone plemiona Indian, z których tylko część weszła w kontakt z dobrodziejstwami niesionymi przez XXI wiek. To wciąż Ziemia Dziewicza, która skrywa niejedną nierozwiązaną zagadkę. Jak mówią Peruwiańczycy – w selwie ukryta jest „podświadomość Peru”, ze wszystkimi zamieszkującymi ją demonami.

Wybrzeże od amazońskiej dżungli oddzielają Andy i każda z wielkich, południkowych krain żyje i rozwija się w zasadzie samodzielnie. Żeby drogą lądową z Limy dojechać do selwy, zwykle trzeba kilku dni. Pewnym rozwiązaniem jest komunikacja lotnicza, ale na wykupienie biletu na samolot stać w Peru nielicznych.

Z izolacji geograficznej poszczególnych regionów nieuchronnie wynika izolacja zamieszkujących je ludzi. Indianie z gór słabo znają białych z wybrzeża, Kreole mają niewielki kontakt z Indianami z gór, jeszcze mniejszy z tubylcami zamieszkującymi amazońskie lasy. Dla Indian z selwy biały mieszkaniec Limy jest „obcym”. W wielu indiańskich nierzeczach słowa biały i diabeł znaczą to samo.

Jednak obcość i wzajemna nieznajomość, a co za tym idzie – rodzące się w oparciu o nie uprze-

dzenia i przesady, wynikają nie tylko z geografii, ale także z historii. Biali, którzy przybyli do Ameryki wraz z konkwistadorami, przez wieki niemiłosiernie eksploatowali miejscową ludność. Najpierw przymusowo osiedlali Indian w specjalnie zakładanych dla nich wioskach-obozach, w tzw. reducciones; następnie mieszkańców owych „redukcji” wykorzystywali do niewolniczej pracy. W krótkim czasie doprowadziło to do wyludnienia kontynentu. Indianie ginęli masowo – wyniszcza-

„Pishtaku” jest: „zwykle przybyszem z daleka, z niebieskimi oczami i brodą”. Wygląda tak, jak wyglądali hiszpańscy konkwistadorzy, którzy w Peru pojawili się w XVI wieku, siejąc śmierć i zniszczenie, trwające – zdaniem wielu tubylców – do dziś.

To nie są bajki. Te wierzenia są nadal obecne na wielu obszarach Peru. Gdy w 2007 roku prowadzona przeze mnie ekspedycja dotarła do siedzib mieszkających wysoko w Andach Indian Q'ero, za każdym razem, gdy chcieliśmy wejść do wioski, musieliśmy przekonać miejscową starszyznę, że nie jesteśmy „chupacabra” – biało-skórym stworem wysysającym krew z żył lam i owiec. I nie było to wcale łatwe, bo zdaniem Indian wyglądaliśmy dokładnie tak jak „chupacabras”! Negocjacje i przerzucanie się argumentami w języku keczua trwały niekiedy godzinę, a nawet dwie. Elementem, który przełamywał nieufność Indian były dopiero prezenty, które im przywoziliśmy: sól, ryż i szczególnie przez nich wysoko cenione liście koki.

To dlatego, gdy ma się kontakt z najmniej cywilizowanymi Indianami,

ni morderczą pracą i chorobami przywleczonymi przez białych. Po pewnym czasie konieczne zaczęło być sprowadzanie siły roboczej z Azji. To dlatego w Ameryce Łacińskiej jest dziś tak wielu Chińczyków i Japończyków.

Izolacja geograficzna i historyczne okrucieństwo białych wobec Indian zasiały w Peru nieufność, wrogość, a często nienawiść. Biali nadal posługują się hiszpańskim, Indianie z gór w wielu przypadkach za język ojczysty uznają keczua, natomiast Indianie z dżungli mówią swymi plemiennymi narzeczaniami. Wszystko to – razem wzięte – doprowadziło do sytuacji wielce kuriozalnej: costa, sierra i selwa to w Peru trzy różne światy. Komunikacja między nimi jest często niemożliwa.

To właśnie te wszystkie elementy doprowadziły do tego, że w Peru, znacznie łatwiej niż w innym latynoskim kraju rodzą się niezwykle trudne do wykorzenia mity i przesady na temat ludzi pochodzących z pozostałych dwóch wielkich krain geograficznych.

Wśród najprymitywniejszych Indian biali to nadal „pishtaku” – podstępny i przebiegły stwór, który żeby zamordować człowieka nie potrzebuje nawet noża ani pistoletu.

trzeba precyzyjnie przestrzegać ich zwyczajów. Nie wolno bez wyraźnego przyzwolenia wchodzić do ich wiosek. Dla nich wioska jest jak dom. Jeśli ktoś wchodzi do niej bez zaproszenia, to tak jakby w Europie ktoś wszedł do cudzego mieszkania przez okno. Od razu rodzi się podejrzenie, że ma nieczyste zamiary, że może być „pishtaku” albo „chupacabra”, w najlepszym razie złodziejem.

Zdarza się i tak, że Indianie na wieść o tym, że zbliżają się biali, porzucają swoje siedziby i uchodzą w las. Wtedy w żadnym razie nie wolno rozgościć się w opuszczonej wiosce. Trzeba się wycofać. Na granicy wioski pozostawić prezenty, a gdy one za jakiś czas znikną, czyli zostaną zaakceptowane, i gdy na ich miejscu nie pojawią się wbite w ziemię strzały, wtedy można do wioski wracać. W przeciwnym wypadku jest się intruzem. ○



FOT. ROMAN WARSZEWSKI



# DOKTOR

Wojciech Albiński

# W ZULULANDZIE

Szło ich trzech, jeden za drugim, podążali ścieżką okrążającą krzaki i kamienie. Najważniejsi ludzie w wiosce. Pierwszy szedł Makosi Mangomani, w kamizelce z kozła, z paskami wyciętymi ze skóry zebry, drugi Sangoma, czyli plemienny doktor, ubrany w czapkę ze skórek węża. Za nimi podążał Sithole, lekko utykając – konsekwencja wypadku w dzieciństwie. Był to wuj Makosi i zaufany członek rodziny, kilka lat młodszy od wodza wioski, ale pochodzący od jego starszego brata. Sithole znany był i szanowany, ludzie przychodzili do niego z wieloma sprawami, a on długo je rozważał i udzielał mądrych rad.

– Jesteś zmęczony, Makosi – teraz ostrzegał wuj. – Przystańmy na chwilę. Ludzie zobaczą, że się śpieszymy... I to do kogo? Do białego doktora?

Ale Makosi szedł i szedł. Nie rozumiał sytuacji. Przyjdą za wcześniej, to co w tym złego? Dla białego doktora jest wszystko jedno kto czeka. Taki czarny, czy inny czarny. Nie zna hierarchicznych godności, nie wie w jaki sposób trzeba Makosi szanować. Teraz przyjdą i będą czekali. Biały doktor jeszcze się oburzy: – *To nie wiecie, że doktorowi należy się trochę odpoczynku w południe? A wy sami co umiecie robić? Leżeć do góry brzuchami!*

Wuj Sithole chciał uniknąć takiej sytuacji. Przed werandą doktora, do której ktoś przybił tabliczkę: General Hospital, na gołym piasku, pod drzewami, stały połamane krzesła. Tu kawałek szkolnej ławki, tam kartonowe pudło, ówdzie leżak

z naddartym materiałem. Poczekalnia. Biały doktor oprze się na poręczu werandy i będzie nad nimi górował. Nikt mu nie wytłumaczy, że powinien zejść i pozdrowić Makosi, a potem usiąść przed nim na piasku, kiwać głową i powtarzać: *Makosi, Makosi...*, tak jakby oczekiwał jakiegoś polecenia, że ma tak ciągle potakiwać, aż Makosi zechce go zauważyć.

Ale doktor nie wie jak ma się zachować, ciągle myśli, że to jest jego świat. Sithole zapytał go kiedyś, po co tu przyjechał? – *Bo was lubię* – odpowiedział doktor. Był pełny energii i wiary w swoje przekonania. A potem ciągnął: – *Chatka tu, chatka tam, ognisko pomiędzy drzewami... Gdzieżbym na świecie znalazł taki krajobraz! Nawet lubię* – zwierzył się doktor – *jak wasze dzieciaki krzyczą, w ten sposób wyrabiają sobie płuca. Zresztą – i tu zrobił ważne wyznaczenie – wasze dzieci płaczą dużo mniej niż białe. Zawsze mając w pobliżu dwie piersi pełne mleka, wiedzą, że świat jest dla nich dobry i łagodny, nie mają się po co drzeć.*

Każde słowo doktora tu zapamiętywano, ale on o tym nawet nie wiedział. Ludzie wiedzieli, że kiedy krzyczał, gdy ktoś zgubił założony wczoraj opatrunek, to nic to nie znaczyło. Wykwalifikowana siostra Niki założy drugi. Naprawdę wściekał się, gdy ktoś nie brał przepisanych mu i danych za darmo pastylek. Torebka była szara, z grubego papieru, nazwisko pacjenta, nazwa leku i jeszcze jakieś cyfry widniały wyraźnie wypisane długopisem. Nie było żadnych powodów, aby takie lekarstwa odrzu-



cać, gubić albo o nich zapominać. Chyba, że ktoś to pacjentowi podszeptał. A to nie było wykluczone, wystarczyło mieć w wiosce jednego sangomę, z którego zawsze sączył się jad.

Właśnie po to przyszli do doktora Adamsa, aby omówić sprawę leczenia. A zdarzały się dziwne wypadki. Sangoma twierdził, że już nic pacjenta nie uratuje, ten typ opuchlizny albo nagłe chudnięcie kończy się zawsze zejściem, a tymczasem po zażyciu tanich pastylek od doktora Adamsa, pacjent cieszył się zdrowiem miesiącami. Albo biały doktor poklepał chorego: – *Nie jest ci nic takiego, czego nie dałoby się uleczyć* – pocieszał biedaka, poklepywał, a chory na drugi dzień kończył w mękach, wyklinając świat, okadzania Sangomy i pastylki Adamsa. To były niepotrzebne przypadki, podrywały wiarygodność obu specjalistów, ludzie tracili chęć płacenia za leczenie i uważali, że na medycynie sami znali się najlepiej.

Kiedy Makosi i towarzyszący mu dygnitarze zbliżyli się do werandy, ludzie ustąpili im miejsc w stojących na piasku fotelach i krzesłach. Ale wodzowie nie zamierzali czekać. Szli prosto do gabinetu lekarskiego. Makosi nie oznaczył dnia ani godziny wizyty, musiały się potem ich trzymać. Gdy weszli, doktor Adams badał właśnie dziecko, które przyniosły dwie kobiety. Widząc wchodzących, kobiety porwały krzyczące niemowlę, owinęły je w koc i wybiegły z gabinetu. W izbie Sangomy na ścianach wisiały skóry węża, przestarzała reklama aspiryny i wyschnięte liście szalwii. U doktora Adamsa nie było niczego, na czym mógłby zbierać się kurz. Wzdłuż ścian stały białe szafki z lekarstwami, za szkłem błyszczały medyczne szczypce i kilka srebrnych narzędzi operacyjnych.

– *Sawbona, dzień dobry* – przywitał ich doktor. Wskazał krzesła, na których mogliby się rozgocścić.

– *Sawbona, Makosi* – powtórzył.

– *Sawbona, Rra* – odpowiedzieli.

Nastała cisza, przypatrywali się sobie nawzajem. Po mowie, po akcencie od razu poznali, że doktor to nie jest Afrykaner, ale English Speaking South African. Na ścianie za szkłem rozwiesił dyplomy, jeden z Uniwersytetu z Cape Town, Wydział Medycyny, drugi obwieszczał jego członkostwo w Instytucie Lekarzy.

– *Co go tu zagnano?* – zastanawiali się. Afrykaner polubiłby



ich wioskę, wrósł w tę ziemię i budował sobie życie. Sprowadziłby sobie żonę, która też nie znalazłby niczego innego jak pletelandveld i veld<sup>2</sup>. Wieczorami wychodziliby na werandę i mówili sobie: – *Jak tu pięknie! Gdzie indziej znaleźlibyśmy taki spokój? Ale English – speaking kobieta? Jak on taką znajdzie, która chciałaby tu żyć?*

Doktor Adams siedział za aluminiowym biurkiem, miał jasne włosy i spieczoną, czerwoną twarz. Wzbudzał zaufanie. Duży mężczyzna w białym medycznym fartuchu, źle znosił suchy upał, jaki panował w wiosce na skraju pustyni. Na wierzchu dłoni i na przedramionach już porobiły mu się ciemne plamy. Patrzył na przybyłych, czuł, że ta wizyta jest ważna.

Ale oni nie od razu przedstawili sprawę, z jaką do niego przyszli. Kto zbyt niu nastaje, pokazuje jak bardzo mu zależy. A poza tym, to oni są tu ważniejsi, starsi wiekiem i godnościami. Na rozpoczęcie poważnej rozmowy sami znajdują odpowiedni czas.

Jeszcze pogadali o burzach piaskowych, które mogą przyjść, ale lepiej, żeby ich ominęły. Sithole stwierdził, że burze piaskowe przychodzą regularnie, co drugi rok. Sangoma oburzył się, jemu w niczym taka burza nigdy nie szkodziła i żadnej się nie boi.

– *Niczego nie będę się bał ani przyjezdnych lekarzy, ani przyjezdnych felczerów...* – dorzucił.

Drzwi drgnęły, pokazała się Matrona. Młoda dziewczyna, szczupła i zawsze z uśmiechem na twarzy, ubrana była w medyczny fartuch. Widocznie przykazano jej, że ma przyjść o oznaczonej porze i teraz nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

– *Makosi* – zaproponował Adams. – *Czy mogę Makosi czymś poczęstować? Piwo? Coka? Za Makosi pozwoleniem?*

Zgodzili się, że Makosi napije się Coki, Sithole ucieszył się na myśl o puszcze piwa i tylko Sangoma długo myślał, co by tu wziąć, aż w końcu wybrał sok jabłkowy. Matrona potaknęła i pobiegła po tacę i szklanki.

– *Co się stało z Cele?* – zapytał Makosi.

– *Cele, Cele...* – doktor odstawił szklankę. – *To ten chłopak, który miał Aids?*

– *Nie Aids, ale OMO. My tak mówimy* – poprawił go Sangoma. – *Ja powiedziałem, że wyzdrowieje, więc dlaczego zmarł? Młody chłopak, jeszcze w życiu niczego nie zrobił, nikomu się nie naraził. Czasami myślę... zastanawiam się, czy ktoś mu w tym jego zepszceniu nie pomógł?*

– *Kto?*

– *Jacyś obcy doktorzy? Nieznane pigułki? A Kenneth Ngubeni...? Kaszlał i był gorący. Powiedziałem, nic się nie da zrobić. Niech rozdzieliby go między rodzinę.*

– *Kenneth Ngubeni chorował na zapalenie płuc.*







*Antybiotyk postawił go na nogi....*

– *Ale znowu czuje się źle. Bardzo się skarżył. A w ogóle to wielu było takich, którzy białemu doktorowi życie zawierzali i teraz rodziny po nich płaczą.*

– *To ty, Sangoma, możesz otruć kogo chcesz...*

– *Za pozwoleniem Makosi.*

– *Musicie wspólnie się zastanawiać, stawiać diagnozy razem – przerwał spór Makosi. – Inaczej ludzie powiedzą, coż to jest za Sangoma, który ciągle się myli albo doktor, który nie zna naszych ziół? Zanim biały człowiek przywołół tu swoje choroby, zioła nam zupełnie wystarczały.*

– *Pięć lat Szkoły Medycznej, egzaminy. Potem praktyka i znowu egzaminy. – powiedział w zamyśleniu Adams. – A ty, Sangoma, ile lat się uczyłeś?*

– *Cale życie. Mój ojciec był sangomą i jego ojciec. Leczenia nie można się nauczyć. To jest cale życie. Twój ojciec był doktorem? Odpowiedz nam Adams?*

Adams milczał, więc domyślili się, że tak nie było.

– *Dajcie mi więcej jabłkowego soku – powiedział Sangoma i podał szklankę Matronie. Mógł być to dowód zaufania, a mogła być chęć przedłużenia rozmowy. Pewny był, że dziewczyna nic z ich rozmowy nie rozumie, więc niczego nie będzie umiała powtórzyć.*

– *Powiedz mi Adams.... – wszystkim zrobiło się lżej i łatwiej było rozmawiać. – Powiedz mi Adams, Ty jesteś biały, ja jestem czarny, ale na pewno to samo czujemy. Wchodzi do ciebie pacjent, obojętne, młody czy stary, madala czy młoda dziewczyna, może to być Zulu, a może być English Speaking, wchodzi, a my już wiemy, co komu jest i jak długo na świecie pożyje. Często taki pacjent chce nas zawieść, mówi, że brzuch go boli, a to noga, piecze gardło, narzeka na głowę, a tak naprawdę kończy mu się wzrok. Ciekawi go, czy się poznamy. A my wiemy, odkąd przekroczył naszą izbę, jak długo będzie żył i co mu naprawdę dolega.*

– *Wiesz Sangoma, ja takich cudów nie umiem. Ja muszę zbadać pacjenta. Czasami nawet pobrać mu krew i wystać do laboratorium.*

– *Słaby z ciebie lekarz, Adams... Słaby i bez intuicji. A my, w naszej wiosce chcemy dobrych doktorów.*

– *Ty zawsze trafiasz, Sangoma? Nigdy się nie mylisz?*

– *W twoim wypadku trafiłem.*

– *Nie jestem ciekawy.*

– *A ten ból w boku? A te plamy na rękach? To z tobą jest bardzo źle, Adams.*

Biali zawsze wyliczają, czym zostali poczęstowani. Piwo, sok jabłkowy, coca, ciasteczka. Dopiero

potem wstają i dziękują. Goście Adamsa wyszli bez podziękowania. Makosi pierwszy, Sithole z hałasem odsunął stojące przed Makosi krzesło, ostatni wyszedł Sangoma.

Oddalili się od szpitalnej werandy, czekający pod drzewem pacjenci nie mogli już ich usłyszeć.

– *Co z nim zrobimy, Makosi? – zapytał Sangoma.*

– *Bardzo łatwo będzie go usunąć... Tylko się trochę zaczerwieni na twarzy. Innych śladów nie będzie.*

– *Jeszcze się nie zdecydowałem.*

I Makosi ruszył w dalszą drogę, a oni jego śladami. ○

## ○ Autorze...



Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kąt” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

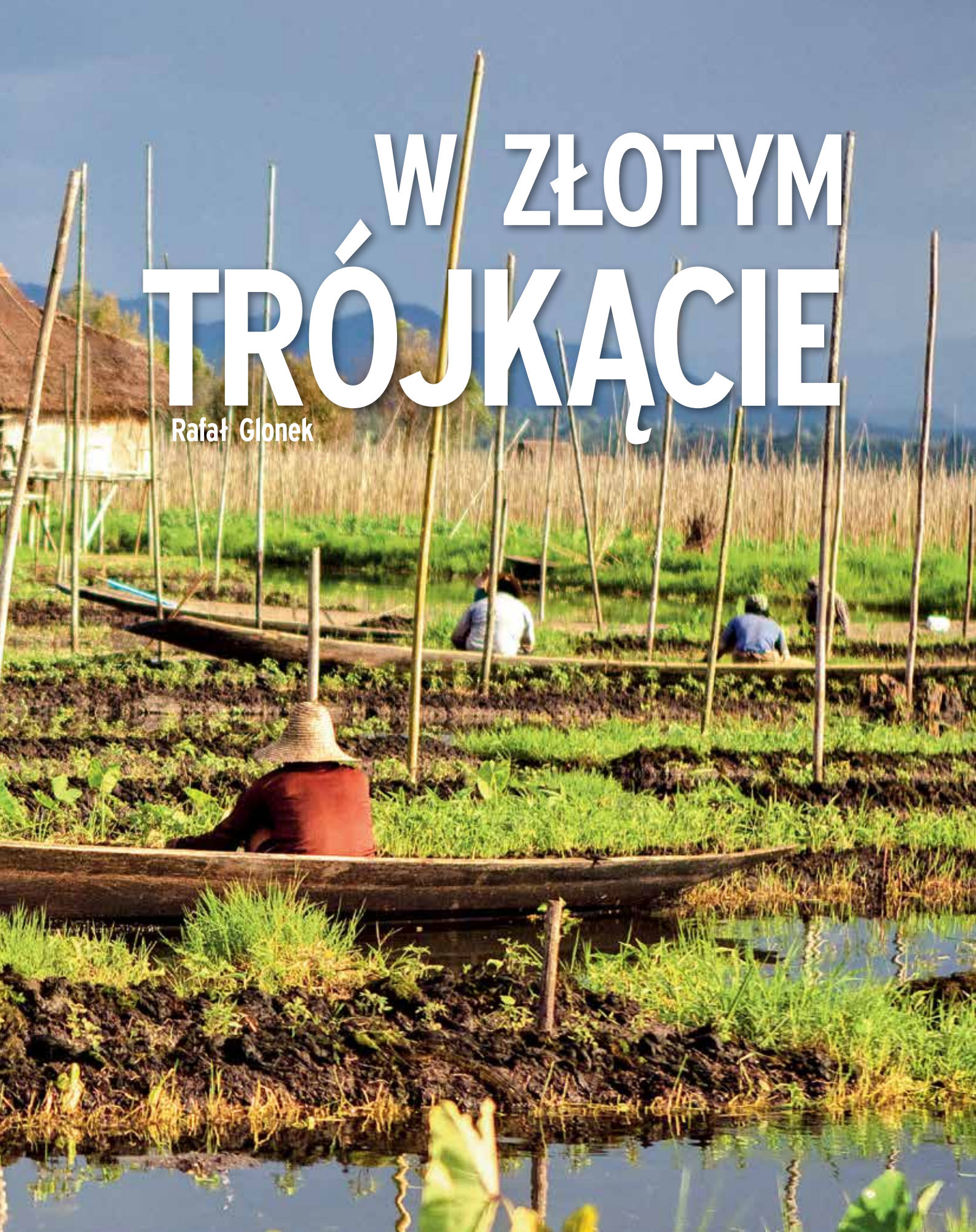
<sup>1</sup> pleteland – olbrzymie, płaskie, wysuszone przestrzenie

<sup>2</sup> veld – suche pole porośnięte krzakami



# W ZŁOTYM TRÓJKĄCIE

Rafał Glonek





FOT. RAFAŁ GŁONEK

Mieszkańcy stanu Szan – Szanowie – stanowią najliczniejszą birmańską mniejszość (dziesięć procent populacji). Kiedyś posiadali własne państwo. Od Birmańczyków łatwo ich odróżnić po ubiorze. Mężczyźni zamiast tradycyjnych longyi – kraciastych materiałów wiązanych wokół bioder – wdziewiają szerokie spodnie.



### MAK, CZYLI BROŃ

Tereny ludu Szan graniczą z Chinami, Laosem i Tajlandią. Ten obszar określany jest Złotym Trójkątem. Nazwa pierwotnie miała związek z bogactwem pochodzącym z handlu rubinami, jadem, kością słoniową i drewnem tekowym. Dziś kojarzy się z plantacjami maku oraz produkcją opium i heroiny. Tutejsze uprawy maku zapoczątkowali w XIX wieku Brytyjczycy, zainteresowani, by ich Kompania Wschodnioindyjska w rozliczeniach z Chińczykami płaciła za chińskie towary opium, a nie srebrem.

Po II wojnie światowej dochody z opium i heroiny służyły utrzymaniu armii Kuomintang-

W 1989 roku, kraj nazwany przez angielskich kolonizatorów Birma zmienił nazwę na Związek Myanmar. Zostało to zaakceptowane przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Jednak zgodnie z wytycznymi Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych, w Polsce powinno się używać określenia Birma.

Kraj leży w Azji Południowo-Wschodniej, ma powierzchnię ponad 678 kilometrów kwadratowych. Ludność liczy około 50 milionów mieszkańców i składa się na nią ponad 130 grup etnicznych. Największa z nich (75 proc.) to Birmańczycy, drugą są Shanowie (10 proc.), kolejną Karenowie (7 proc.). Przeważająca liczba ludności (90 proc.) wyznaje buddyzm therawady.

Birma była kolonią brytyjską w latach 1826-1948, a podczas drugiej wojny światowej znajdowała się pod trzyletnią okupacją japońską. Niepodległość odzyskała w styczniu 1948, po czym nastąpił krótki okres niezależnych rządów demokratycznych, zakończony w 1962 roku, gdy poprzez zamach stanu władzę przejął generał Ne Win.

gu, związanej z Chińską Partią Narodową, której niedobitki po przegranej wojnie domowej ukrywały się na birmańskim pograniczu. Z tego samego źródła wciąż pochodzą pieniądze, które służą partyzanckim oddziałom plemion Szanów, Karenów i Monów nadal upominającym się o niezależność. W 1947 roku, jeszcze przed odzyskaniem przez Birmę niepodległości, mniejszościom narodowym obiecywano autonomię po upływie 10 lat. Kiedy okazało się, że są to puste obietnice, plemiona zbrojnie upomniały się o swoje prawa. Część ich oddziałów zgodziła się na zawieszenie broni w zamian za możliwość kontroli podległych im terenów oraz eksploatację lasów i kopalni rubinów. Ci, którzy nie poszli na ugodę, wciąż walczą z armią birmańską. To na terenach przez nich opanowanych – górzystych, przygranicznych – znajdują się plantacje maku. Obecnie Birma jest drugim, po Afganistanie, producentem heroiny w Azji.

## GRZECHY DO NIEBA

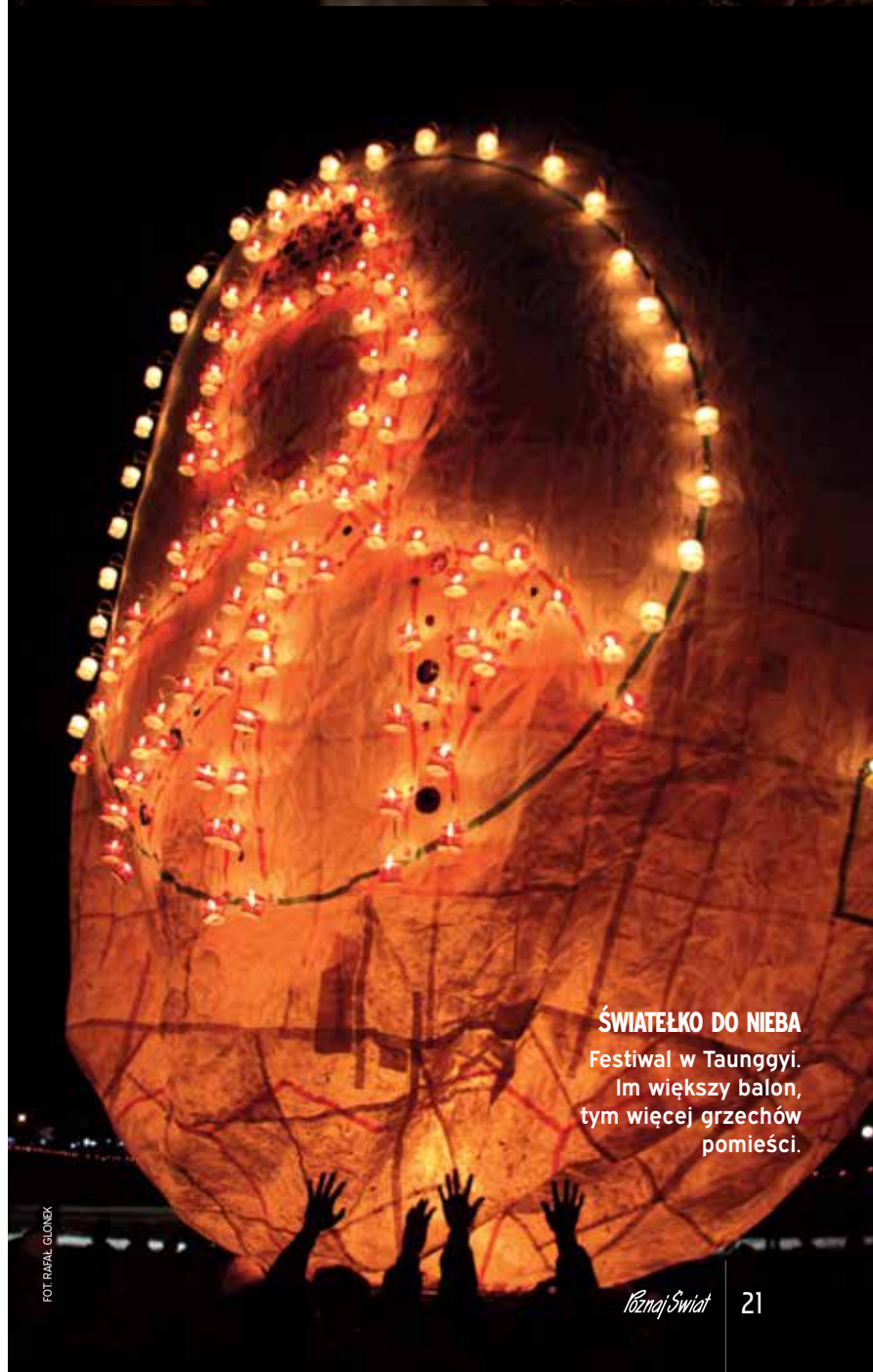
Stolicą stanu Szanów jest dwustutysięczne Taunggyi, otoczone górami sięgającymi 1500 metrów. Najlepszym czasem na przyjazd tutaj jest koniec listopada, kiedy kończy się pora deszczowa. Jeśli szczęście dopisze można trafić na trzydniowy fe-



FOT. RAFAŁ GŁONEK

### SŁODZONE MIODEM

Tytoń wycoczony w wodzie z miodem i bananami po wysuszeniu zostaje zawinięty w liście drzewa. Filtr z kukurydzy i gazety nada mu wyrafinowanego smaku.



### ŚWIATEŁKO DO NIEBA

Festiwal w Taunggyi. Im większy balon, tym więcej grzechów pomieści.

FOT. RAFAŁ GŁONEK



FOT. RAFAŁ GŁONEK

## NOGĄ I WIOSŁEM NA JEZIORZE INLE

Przy tej technice wiosłowania ręka zostaje wolna. Rybak może łowić rybę przy pomocy bambusowego żaka (i ręki).

stiwiał Tazaungdine, podczas którego wysyłane są w przestworza wielkie papierowe balony. Wraz z nimi, jak wierzą miejscowi wyznawcy buddyzmu, unoszą się do nieba wszystkie grzechy i złe uczynki.

Przygotowania do tego święta trwają cały rok i biorą w nich udział niemal wszyscy mieszkańcy stanu, reprezentowani przez stuosobowe drużyny. Koszt budowy balonu jest niebagatelny, może wynieść nawet 5 tysięcy dolarów. Działanie każdej drużyny ocenia specjalna komisja. Punktowana jest wielkość oraz kunszt wykonania balonu, przygotowania do lotu i wreszcie sam lot.

Nie łatwo jest wznieść wiotką papierową konstrukcję, szczególnie, kiedy wieje silny wiatr. Przy pomocy rozpalonego drewna, umieszczonego w podczepionym kociołku, trzeba tak rozgrzać powietrze, aby balon uniósł swój ciężar i nie opadł zbyt szybko na okoliczne wzgórza. W ciągu dnia puszczane są kolorowe balony w kształcie zwierząt np. słonia, konia, bawoła, ptaka, ryby. Te, które wypuszczane są nocą świecą przyczepionymi lampionami i fajerwerkami. Zdarza się, że sztuczne ognie wybuchają za wcześniej i pod kanonadę rakiet do-

staje się zgromadzony tłum. Pomyślny lot wzbudza wśród uczestników święta szal radości, wyrażanej śpiewem i tańcem.

W miejscu startu balonów powstaje małe miasteczko ze straganami pełnymi wszelkich dóbr i małymi „jaskiniami” hazardu, gdzie starsi szukają szczęścia, obstawiając wygrane. Wśród najmłodszych furorę robi diabelski młyn rozpędzany przez młodych chłopców skaczących po nim niczym stado małąp.

## POMIDORY Z JEZIORA

Nieopodal Taungyi, wśród wzgórz, leży jezioro Inle. Akwen o średniej głębokości trzy metry ma długość 22 kilometry i szerokość 11 kilometrów. W jego rejonie – przy brzegu i na wodzie, w domach na palach – żyje około 70 tysięcy mieszkańców, pochodzących z ludu Intha.

Jak wieść niesie w połowie XIV wieku przybyło tu dwóch braci z południa Birmy, z Dawei. Władca Szanów zadowolony z ich pracy poprosił, aby sprowadzili swoich krewnych. Przybyło 36 ro-



**W SZYKU**  
Sąsiedzkie pogawędki  
w drodze  
do domu.

dzin, protoplastów mieszkańców jeziora. Ich głównym zajęciem jest rybołówstwo. Intha stworzyli oryginalny sposób łowienia ryb przy pomocy sieci przymocowanych do bambusowego stelaża. Gdy zauważą rybę wrzucają konstrukcję do wody, dociskając ją nogą do dna i naganiają zdobycz do sieci. W tej technice połowu pomocny jest specjalny sposób wiosłowania – przy pomocy nogi założonej za wiosło.

Mieszkańcy domów na palach uprawiają też warzywa na grządkach w pływających ogrodach. Tworzone są one z unoszących się na wodzie kęp traw, które uformowane w długie pasy, nawiezione mułem i wodorostami, pozwalają na prowadzenie upraw. Wbite w dno jeziora bambusowe tyczki zapobiegają przesuwaniu się poletek przy silnym wietrze. Jednocześnie pozwalają im swobodnie unosić się na wodzie. Z tych niezwykłych upraw pochodzi, między innymi, 60 procent wszystkich birmańskich pomidorów.

Przez 3 miesiące w roku trwają na jeziorze zbiory lotosu, uważanego przez buddystów za świętą roślinę. Z włókien nacinanych łądyg uzyskuje się





### UDRĘCZONA URODA

Zakładane na szyję obręcze miały gwarantować dochowanie wierności mężowi. W przypadku zdrady zdejmowano je, a kobieta umierała, bo nieużywane mięśnie szyi nie były w stanie utrzymać ciężaru głowy.



delikatną nić wykorzystywaną do tkania szat dla mnichów i wizerunków Buddy. Ze względu na pracochłonność tkanina z lotosu jest cenniejsza od jedwabiu. W tutejszych tradycyjnych zakładach, na starych krosnach, z surowca przywożonego z Chin tkany jest również jedwab.

### REJS BUDDY

Na jeziorze życie toczy się niemal tak jak na lądzie. Znajdują się tutaj szkoły, sklepy i ponad 100 drewnianych klasztorów. Najważniejszym z nich jest Phaung Daw Oo Paya z pięcioma świętymi wizerunkami Buddy.

Raz w roku, podczas październikowych świąt, posągi Buddy obwożone są po jeziorze w świętej barce ciągniętej przez kilkanaście powiązanych ze sobą długich łodzi. W 1962 roku nagły podmuch wiatru wyrzucił barkę i posąжки Buddy wpadły do wody. Uratowano tylko cztery i kiedy zrozpaczeni wierni dotarli do świątyni, zobaczyli na ołtarzu zagubioną figurę. Uznano to za cud i od tej pory jeden z posągów zawsze zostaje na straży świątyni.

Obok trasy procesji i wokół jeziora, gromadzą się tłumy z darami licząc na błogosławieństwo. Trwające dwadzieścia dni święto rozpoczynają i kończą zawody, podczas których pięćdziesięcioosobowe załogi rywalizują o tytuł najszybszej łodzi.

### SMOCZYCA Z PADAUNG

Co pięć dni, wczesnym rankiem, na jeziorze odbywa się targ. Wśród ludu Szan łatwo dostrzec wyróżniających się przedstawicieli mniejszości narodowych. Kolorowe turbany mężczyźni świadczą o przynależności do plemion Pa-O lub Padaung. Szyje kobiet z plemienia Padaung otaczały niegdyś obręcze z brązu. Podobno służyły one im do ochrony przed atakami tygrysów, choć według innej wersji ozdoba przypomina, że kobiety z tego plemienia wywodzą się od smoczycy o długiej szyi. Dziś nad jeziorem niewiele kobiet kultywuje ten okrutny zwyczaj.

Mniejszości wciąż posługują się własnymi językami i zachowały dawne wierzenia animistyczne.

### BUDDA PŁYNIĘ DO SWOICH WYZNAWCÓW

Raz w roku ze świątyni w Phaung Daw Oo Paya wypływa złota barka wioząca cztery posąжки Buddy. Przez 18 dni będzie odwiedzać wioski rozsiane na jeziorze Inle.

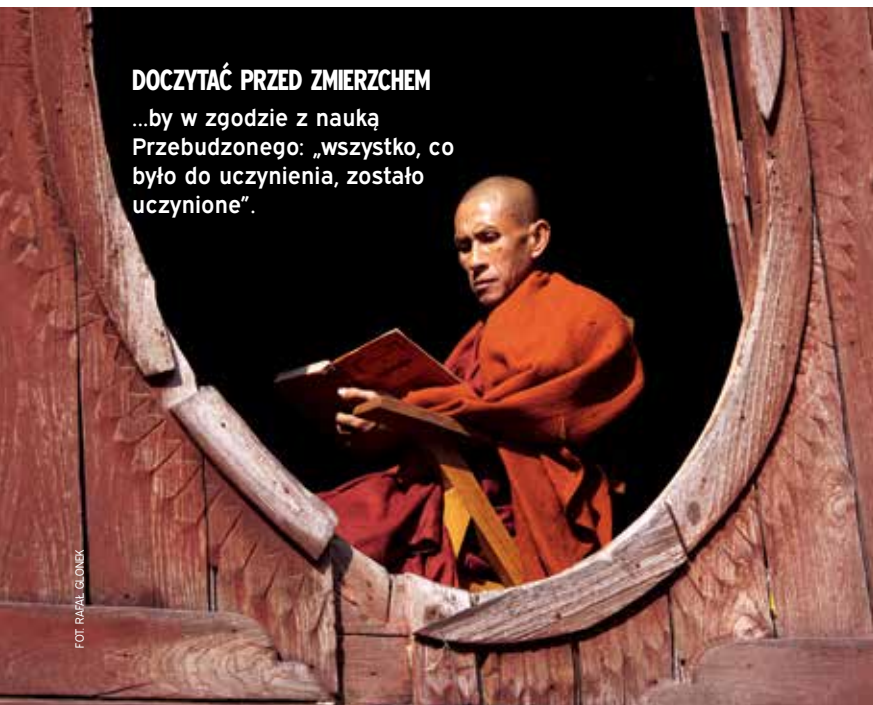


**ZAWSZE W TURBANIE**  
Kobieta z plemienia  
Pa-Oh.

FOT. BASAL GŁONEK

**DOCZYTAĆ PRZED ZMIERZCHEM**

...by w zgodzie z nauką  
Przebudzonego: „wszystko, co  
było do uczynienia, zostało  
uczynione”.



FOT. RAPAL-GŁONEK

Ich wioski znajdują się w dżungli, w trudno dostępnym, górzystym terenie. Dżungla dostarcza im drewna, z którego budują domy na palach. Górskie plemiona żyją jak przed wiekami. Karczują i wypalają dżunglę, a na uzyskanych poletkach uprawiają kukurydzę, ryż górski, banany, warzywa. Po dwóch – trzech latach, gdy ziemia jałowije, przenoszą się dalej i wypalają kolejny fragment dżungli.

**Z ORKIESTRĄ DO KLASZTORU**

Niedaleko Inle znajduje się miasteczko Kalaw. Stąd można wybrać się w okoliczne góry, odwiedzając przy okazji miejscowe buddyjskie klasztory. Wśród mnichów spotkać można kilkuletnich nowicjuszy. Ceremonię wstąpienia ich do klasztoru poprzedza uroczysta procesja.

W otoczeniu niosącej dary rodziny i tradycyjnej szafskiej orkiestry, pięcio-, siedmioletni chłopcy opuszczają rodzinne domy i udają się do klasztoru, aby zgłębiać nauki Buddy. Na pamiątkę ucieczki z pałacu Siddharthy Gautamy (późniejszego Buddy) przebrani są w książęce stroje. Chłopcy z bogatszych rodzin pozostają w klasztorze kilka tygodni. Dla najuboższych jest to szansa na zdobycie podstawowego wykształcenia. Toteż dla nich klasztor staje się domem na wiele lat.

Na znak porzucenia świeckiego życia chłopcom goli się głowy. Przywdziewają również bordowe, mnisie szaty. Od tej pory muszą przestrzegać klasztornych reguł. Codziennie o wschodzie słońca nowicjusze wyruszają na bosaka z klasztoru, aby zbierać do czarnych żebraczych mis jedzenie od okolicznych mieszkańców.

Birmańczycy są bardzo religijni. W tym ubogim kraju posążki Buddy oklejane są przez wiernych grubą warstwą złotych płatków, wyrażających szacunek. Zwyczajem jest fundowanie figurek Buddy, by zasłużyć sobie na lepsze życie w kolejnym wcieleniu.

Nieopodal Pindaya, znajdują się groty, w których pielgrzymi, przybywający tu od XVIII wieku zebrali tysiące posągów Buddy. Są one różnej wielkości, kształtu i koloru. I choć w labiryntach długiej na 150 metrów jaskini jest już niewiele wolnego miejsca posażków wciąż przybywa. ○



FOT. RAPAL-GŁONEK



FOT. RAWAL GLONEK

### ŚWIĘTE ZAPISY

Buddyzm wyznawany w Birnie związany jest z najdłuższą istniejącą tradycją Therawada. Istotnym jej elementem jest studiowanie świętych tekstów sutt.

# JESTEM DOJRZAŁY

foto. L. Szurkowski

**Bo doskonale dojrzewa się w górskim słońcu. Skosztuj jak smakuje najbardziej wykwintny region Włoch. Dojrzałe sery, dojrzałe wina i dojrzałe zdjęcia czekają...**

Akademia Nikon a zaprasza w październiku na fotoekspedycję do Piemontu. Naszym przewodnikiem będzie znany fotograf Leszek Szurkowski.

Szczegóły na [www.akademianikona.pl](http://www.akademianikona.pl)



AKADEMIA NIKONA





# NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



# Tortury w muzeum

 49°22' N 10°10' E

30 km na północny zachód  
od Ansbach  
przy autostradzie A7  
i linii kolejowej

W średniowiecznym Muzeum Kryminalnym w bawarskim Rothenburgu najczęściej emocji wzbudzają wymyślne narzędzia tortur. Są tu krzesła dla piekarzy, którzy piekli zbyt małe bochenki chleba. Straszą też gąsiory, pręgierze, kuny i maski hańby. Ponadto, na wystawianych obrazach można zobaczyć wymyślne sposoby torturowania więźniów. Po wyjściu z tego mrocznego muzeum warto pospacerować po bawarskiej starówce. Zabudowa miasta prawie nie zmieniła się od czasów średniowiecza. (MD)



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK



52°11' N 23°12' E

150 km na wschód od Warszawy

## Araby z Polski

Janów Podlaski to malownicza wieś słynąca z najstarszej w Polsce stadniny koni, istniejącej od 1817 roku, znanej głównie z hodowli wyjątkowo cenionych na świecie koni czystej krwi arabskiej. Oprócz arabsów, hoduje się też tu konie angloarabskie. Od 1969 roku odbywają się w Janowie w sierpniu doroczne międzynarodowe aukcje, poprzedzone narodowym czempionatem konia arabskiego. Najdrożej sprzedanym polskim arabem w historii stadniny była klacz Penicylina, za którą zapłacono 1,5 miliona dolarów! Tegoroczne Dni Konia Arabskiego odbędą się w dniach 5-9 sierpnia. (MD)

www.janow.arabians.pl



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. MONIKA DĄBKOWSKA

Włochy Trentino

## Było czerwone, jest zielone



46°15' N 10°56' E

północne Włochy

12 km od miasteczka Tuenno

Śród wielu atrakcji górskiego regionu Trentino w północnych Włoszech warte uwagi jest jezioro Tovel. Położone na wysokości 1178 m, otoczone górami Dolomiti di Brenta, dziś zachwyca odcieniami zieleni i turkus. Jeszcze nie tak dawno akwen ten zadziwiał zupełnie innym kolorem toni. Jego drugą nazwą jest Lago Rosso – Czerwone Jezioro. Niegdyś dzięki intensywnemu rozrostowi jednego z gatunków alg jezioro zmieniało latem barwę na czerwoną. Z czasem czerwień wody była coraz mniej intensywna, aż w końcu, w 1964 roku jezioro przestało się zmieniać. Niezwykła czerwień jeziora obrosła

w legendy. Najpopularniejsza opowiada o pięknej księżniczce Tresegni, która nie chciała poślubić króla Lavinto. Ten kazał zabić ją wraz ze wszystkimi mieszkańcami księstwa. Krew nieszczęśników spłynęła do jeziora, nadając mu czerwoną barwę. (MD)

# Raz plaża, raz rafa

 27°13' N 33°50' E

kurort we wschodnim Egipcie  
500 km na południowy wschód od Kairu

**D**o Hurghady Polacy jadą przede wszystkim po słońce. Miejscowa plaża ciągnie się wzdłuż wybrzeża Morza Czerwonego przez kilkadziesiąt kilometrów. Jest niemal tak długa, jak miasto, które wąskim, długim na 40 km paskiem odgradza wybrzeże od pustyni. Patrząc na szeregi hoteli, trudno uwierzyć, że jeszcze kilkanaście lat temu wczasowisko było małą rybacką osadą. Klimatyczne walory tych okolic i słońce, które świeci tu niemal przez cały rok, przyciągają rzesze turystów. W najzimniejszym miesiącu – lutym, temperatura w ciągu dnia przekracza 20 stopni Celsjusza, a woda w morzu jest nieznacznie chłodniejsza. Wiel-



FOT. KAROLINA SIOMEK

ką atrakcją Hurgady są rafy koralowe, według miejscowych przewodników – najpiękniejsze w świecie! Widoczność pod wodą dochodzi tutaj do 35 m.

# W drodze do Olafa

 61°35' N 9°51' E

120 km na północ od Oslo



FOT. LUCYNA SZOMBURG

**W**norweskiej dolinie Gudbrandsdalen, otoczonej trzema parkami narodowymi: Jotunheimen, Rondane i Dovrefjell znajduje się malownicza farma Sygard Grytting. To miejsce wygląda jak wyjęte z powieści Sigrid Undset „Krzystyna, córka Lavransa”. Można odnieść wrażenie, że tutaj czas się zatrzymał.

Farma zbudowana jest z grubych, drewnianych bali, szczerbionych od słońca i wiatru. Pamięta jeszcze średniowiecznych kupców, władców, rycerzy, a przede wszystkim piel-

grzymów, którzy wędrowali tędy do Nidaros, do grobu św. Olafa, patrona Norwegii. Wszyscy utrudzeni drogą znajdowali tutaj nocleg i gościnę.

Europa na nowo odkrywa średniowieczne szlaki pątnicze. Współcześni pielgrzymi, jak dawniej, wyruszają w drogę do świętych miejsc. Na norweskich szlakach również pojawili się pątnicy i, jak przed wiekami, zatrzymują się na farmie Sygard Grytting. Zасыpiają w izbie na poddaszu w szerokich, drewnianych łóżkach wymoszczonych skórą, otoczeni ciszą gór i przeszłością zamkniętą w starych sprzętach. Farma od XIII wieku jest w rękach jednej i tej samej rodziny. Gospodarze chętnie opowiadają historię tego miejsca, oprowadzają po zabytkowych wnętrzach, a na pożegnanie częstują bułeczkami własnego wypieku. (L. Szomburg)



# Ochryda na liście UNESCO

**P**erełką małej bałkańskiej republiki Macedonia jest Jezioro Ochrydzkie, położone na granicy macedońsko-albańskiej. To podobno najstarsze jezioro w Europie! Jezioro Ochrydzkie jest domem dla wielu endemicznych stworzeń, na przykład pstrąga ochrydzkiego. Można go skosztować w jednej z miejscowych hodowli. Tylko tam, ponieważ jest pod ochroną. W Ochrydzie i w jej okolicach jest 365 cerkwi – mówi się, że każda na inny dzień. Wiekowe, malowniczo usytuowane, skrywają dobrze zachowane freski, z których możemy odczytać kawałek burzliwej historii Macedonii.

 41°07' N 20°48' E

położone 20 km od zbiegu trzech granic:  
albańskiej, greckiej i macedońskiej



PHOTOSTOCK

## Bornholm słoneczna wyspa Danii

DANIA. Wpadnij do sąsiadów!

[visitdenmark.com](http://visitdenmark.com)



Zaplanuj wakacje,  
zobacz na naszej stronie:

- najlepsze oferty
- dojazd i noclegi
- film o Bornholmie
- aktualną pogodę
- atrakcje i mapę wyspy



[www.visitdenmark.com/wyspa-bornholm](http://www.visitdenmark.com/wyspa-bornholm)

Przybysza, który wysiada z samolotu na lotnisku Bole w Addis Abebie, wita aromat Etiopii: mieszanka zapachu rozgrzanych ziół sawanny, liści eukaliptusa, pikantnej przyprawy berberi, świeżo palonej kawy, dymu kadzidła, źle wyprawionej skóry i dalekich ognisk. Ten aromat wyczuwa się wszędzie: na ulicach stolicy (nawet mimo spalinowego smogu), na drogach i bezdrożach prowincji, w sklepach, domach i kościołach.



FOT. SHUTTERSTOCK



Marcin Kołpanowicz

# KRAINA UŚMIECHU



Przesycone są nim nawet tutejsze banknoty – zielone birry – często tak wymięte i wytłuszczone, że trudno odczytać nominał i dostrzec twarz śmiejącego się etiopskiego chłopca.

Ten uśmiech jest wizytówką Etiopii. Za tym się tęskni, kiedy się stąd wyjedzie. Szerokim uśmiechem olśniewająco białych zębów i życzliwym pozdrowieniem obdarowują obcokrajowca wszyscy, którzy go mijają, począwszy od szczerbatych dzieci, przez umorusanych nastolatków, śniade dziewczyny i smagłych chłopców, na zgiętych w pół starszuchach skończywszy (no, tutaj może bez przesady z tą olśniewającą bielą). Uśmiech jest wszech-

obecny; myślę, że i uważana kiedyś za najstarszą dziewczynę świata, sławna Lucy z gatunku *Australopithecus Afarensis*, której szkielet można oglądać w tutejszym muzeum, też radośnie szczyrzyła się kaczce, gdy budziło ją młodsze o 3 miliony lat słońce.

## RUCH PIESZY, KOŁOWY I KOPYTNY

Nawierzchni nowych dróg mogłaby pozazdrościć Addis Abebie Warszawa. Nie darmo jednak Etiopia jest krajem uskoków tektonicznych i niepokonanych przepaści, które niegdyś powstrzymały inwazję Włochów. Wzdłuż ulic biegną więc głębokie, niczym niezabezpieczone rowy kanalizacyjne, a co kawałek zioną czeluście studzienek. Między kilkutonowymi głazami, które wypadły z ciężarówek, kierowcy wykonują karkołomny slalom. Główne ulice są szerokie; teoretycznie dwu- lub trzypasmowe, ale praktycznie pasów ruchu jest tyle, ile pojazdów zmieści się na szerokość drogi. Ruch odbywa się z podobną intensywnością wzdłuż i w poprzek jezdni, gdyż bez przerwy, nie zważając na pędzące pojazdy, z jednej strony na drugą przemieszczają się ludzie i zwierzęta. Ludzie przebiegają wszędzie (może z wyjątkiem nielicznych przejść dla pieszych), a najchętniej przeskakują przez barierki rozdzielające pasy ruchu. Nieustannie przez drogę przepędzane są stada bydła. Kozy i barany biegną pod prąd, a samotne osły drzemią na stojąco na środkowym pasie, ignorując omijające je samochody. Kierowcy wiedzą, że wszyscy uczestnicy ruchu są absolutnie nieprzewidywalni, więc wypadki zdarzają się rzadziej, niż można by się spodziewać po chaosie panującym na jezdni. Skrzyżowania przypominają fragment „Tanga” Ryczyńskiego,

### NAJSTARSZY UŚMIECH ŚWIATA

Odtworzona twarz Salema, starszego od Lucy *Australopithecus Afarensis*, którego szkielet odkryto w Etiopii w 2006 roku. Można ją obejrzyć w Muzeum Narodowym w Addis Abebie.



FOT. MARCIN KOŁPAKOWICZ



gdy w pokoju jest najtłoczniej. Ta doskonała synchronizacja ludzi, pojazdów i zwierząt sprawia wrażenie nieustającego cudu unikania śmierci w ostatnim ułamku sekundy.

Niebieskie taksówki pękają w szwach, a pomocnik kierowcy jedzie na ogół do połowy wychylony przez okno samochodu i wykrzykuje na głos nazwę docelowego przystanku, gdyż taksówki kursują tutaj jak autobusy – po wyznaczonej trasie. Gdy „taryfa” musi wspiąć się pod górę, szofer wyprasza na chwilę pasażerów i z rykiem cylindrów forsuje stromy podjazd. Za to jazda z góry na pa-

zurki, dzięki oplakanemu stanowi hamulców, upodabnia się do szaleńczego pędu wagonikiem kolejki roller coaster. Taksówki często są tak poobijane, że nie sposób zidentyfikować markę. Na tylnej szybie zobaczyć można naklejkę w kształcie krzyża, jak u nas na karawanach. Istotnie, wydaje się, że każda podróż tymi pojazdami może okazać się ostatnią.

W afrykańskim klimacie samochody nie rdzewieją tak szybko jak w Europie, więc nieustannie reperowane, łatanne, wiązane drutem i sznurkiem są praktycznie nieśmiertelne.



### JEDŹ W POKOJU

Najczęściej używanym przez kierowców urządzeniem jest klakson, najrzadziej – kierunkowskaz.



FOT. MARCIN KOLPANOWICZ

## APARTAMENTOWCE WŚRÓD EUKALIPTUSÓW

Oplatające budynki drewniane rusztowania nie wyglądają solidnie, jednak eukaliptus jest bardzo wytrzymały i świetnie się sprawdza w tej roli.

## BURZ I BUDUJ

Addis Abeba to już niemal pięciomilionowe miasto, rozpełzające się wśród wzgórz u stóp wygasłego wulkanu Entoto. Wciąż wyrastają nowe hotele, biurowce i apartamentowce – świadectwo inwestycyjnego boomu, który przeżywa współczesna Etiopia, nabierająca przyspieszenia po latach komunistycznego zastoj. Żelbetowe konstrukcje, oplecione siatką rusztowań, skleconych z powyginanych pni wszechobecnego eukaliptusa przypominają dzwiczne wieże Babel. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku powstało tu wiele budowli: między innymi siedziby tak ważnych instytucji, jak Organizacja Jedności Afrykańskiej, czy agenda Organizacji Narodów Zjednoczonych

– co uczyniło z Addis Abeby niemal stolicę całej Afryki.

Wyburzenia i rozbiorczy są codziennością współczesnej Addis – wszędzie unosi się biały pył, słychać warkot koparek, spychaczy i uderzenia młotów. Burzy się dokładnie tyle, ile potrzeba, nie należy więc do rzadkości widok połowicznie rozebranego domku: nie ma już fasady, ale ostała się tylna ściana pokoju i kawałki bocznych, pomalowane w jaskrawe wzory lub pokryte fototapetą. Na częściowo zachowanej podłodze stoi jeszcze kanapa i krzesło, a lokatorzy, którym trudno rozstać się ze swym lozium, prowadzą życie rodzinne wystawieni na widok publiczny, niby aktorzy w teatralnej dekoracji.



ALUMINUM P.L.C.

TO LET

ALUMINUM P.L.C.

FOTO: MAREN KOLPA

## EUKALIPTUSOWY WIATR

Słońce świeci równo na sprawiedliwych i niesprawiedliwych, a jedni i drudzy unikają go, jak mogą. By się zbyt nie opalić, ludzie na ulicy zasłaniają się czym kto może – uczniowie niesionymi w ręce książkami i zeszytami, kapłani i kobiety – parasolkami (panie często niosą przed głową nierozłożony parasol, który rzuca tylko wąski pasek cienia na część twarzy), bezdomni – kawałkiem tektury. Mimo bliskości Zwrotnika Raka temperatury w Addis Abebie są całkiem znośne, a to dzięki temu, że miasto leży na wysokości 2500 m n.p.m.

Właśnie ten przyjemny klimat sprawił, że żona Menelika II, cesarzowa Taitu, postanowiła zbudować tu w roku 1886 miasto, które nazwała Addis Ababa (nowy kwiat), i które dało początek dzisiejszej metropolii. Jednak na przełomie wieków miastu groziła zagłada z powodu całkowitej wycinki drzew w okolicy. Na szczęście pewien oryginalnie nazywający się Francuz, Casimir Mondon-Vidalhet, w porywie genialnej intuicji sprowadził do Addis sadzonki eukaliptusa. Bahar zaf, czyli „drzewo zza morza” – tak Etiopczycy nazywają roślinę, która pleni się jak chwast, w 15 lat osiąga wysokość 20 metrów, dostarcza miastu budulca i dREW-

na opałowego, a także uzdrowia aromatem swych eterycznych olejków. Częsty jest widok idącego ulicą Etiopczyka ze zrolowanymi liśćmi eukaliptusa wetkniętymi do dziurek nosa – to najlepsza kuracja na katar. Miasto i jego okolice bujnie porastają eukaliptusowe gaje i lasy, więc górski wiatr zapewnia wszystkim zdrowotną inhalację.

## O NOWYM TO KWIECIE PIOSENKA

W stojących wzdłuż ulicy parterowych budkach znajduje się towar typu „szwarc, mydło i powidło”, a korkoro, blacha falista, którą są pokryte owe sklepy, wyglądałyby obskurnie i przygnębiająco, gdyby nie typowa dla Etiopczyków inwencja kolorystyczna: rdzewiejące połacie blachy ozdabiają najbardziej oszałamiającą mieszanką żółcienia, różu, fioleto, turkusy i oranżu. Sklepy, punkty usługowe i bary nazwane są z fantazją, przesadą lub nonszalancją w traktowaniu angielskiej pisowni: Zemen Barberry, Digital Print Sohph, Hotel Renaissance, Most Reliable Bookshop, Cultural&European Food. Nazwy szkół też wprawiają w osłupienie: 2020 College Accademy lub University of Colledge.

## BARWY MIASTA

Wesołe kolory odciągają myśli od ubóstwa ulicy.





Paradise of Natural and Human Hair – to nazwa jednego z licznych zakładów fryzjerskich.

Budkę rzeźnika reklamują zazwyczaj powieszzone na szyldzie... flaki. W polakierowanych na biało blaszanych masarniach brązowieją i zielenieją tusze krów, baranów i kóz. Etiopczycy jedzą mięso w ogromnych ilościach, zarówno na surowo, jak i przyrządzane na setki sposobów. Nie znają jednak wędlin, a mięso konserwują, krojąc je w cienkie paski, obtaczając w pikantnej papryce, zwanej mytmyta, i susząc. Owoce i warzywa sprzedawane na straganach drażnią siatkówkę oka feerią intensywnych barw. Z głośników stojących jeden przy drugim sklepów muzycznych dochodzi kakofonia przekrzykujących się wokalistów, którzy sławią piękno swej stolicy.

Niepisane prawo mówi, że cudzoziemcowi w Etiopii nie może stać się krzywda. I rzeczywiście, podróżny może czuć się tutaj bezpiecznie i często spotyka się z przejawami bezinteresownej, choć czasami nieco natrętnej sympatii. Oczywiście na Mercato (handlowa dzielnica Addis Abeby, a zarazem największy bazar Etiopii) trzeba uważać na ulicznych złodziejasków, którzy mogą zerwać aparat fotograficzny z piersi lub okulary z głowy, ale dzień później można własne zrabowane rzeczy niedrogo na tymże Mercato odkupić.

## SHOPPING, WESELE I POGRZEB

W sklepach odzieżowych i obuwniczych, między zwalami chińszczyzny, można znaleźć zaskakująco dobrej jakości i znakomicie zaprojektowane fasony, często włoskie. Nie jest chyba przesadą powiedzieć, że na ciuchy warto wybrać się do Addis. Dotknięcie chybotałej sterty ubrań, spiętrzonych na półkach od podłogi do sufitu, grozi lawiną, gdy próbuje się wyciągnąć ze środka upatrzoną sztukę. Kupowanie to rytuał, sklepikarze zaganiają do swych przesyconych dymem kadzidełek sklepów, częstują kawą, przyprawioną cynamonem gorącą herbatą (napój ten nie powinien nazywać się: herbata z cukrem, a raczej: cukier z herbatą) lub orzeźwiającą wodą mineralną Ambo. Zapytani o cenę, wymieniają zawrotne sumy, które podczas negocjacji kurczą się o jedną czwartą, połowę, a czasem nawet dwie trzecie. Jeśli próbuje się wyjść ze sklepu bez zakupów, właściciel najpierw własną piersią blokuje drzwi, a potem biegnie za niedoszłym klientem przez pół ulicy i woła: Okej, ferrendzju, lot is jorr last prajs?

Przez okno naszej pizzerii usłyszeliśmy kiedyś rytmiczne uderzenia bębna i gardłowe piski podobne do głosu wydawanego przez indyka.

Zaciekawieni podeszliśmy do ogrodzenia pobliskiego hotelu – trawnikiem przeciągał korowód postaci odzianych w tradycyjne białe szaty. To goście weselni, podochoceni lokalnym miodem tedzem, tańczyli i klaskali w dłonie. Gdy ujrzeli ferrendzjów za ogrodzeniem, natychmiast z szerokim uśmiechem poczeli zapraszać nas na ucztę weselną. Ale wesele etiopskie godne jest oddzielnego opisu.

Mijając pobliską stolarnię, zauważyliśmy w jej wnętrzu podłużne drewniane skrzynie, obite pstrokatymi dywanami w orientalne wzory i stylizowane kwiaty. Piętrzą się one jedne na drugich, od podłogi do sufitu, jak ogromne pudełka na słodycze. Gdy zapytałem, do czego służą, okazało się, że to trumny – w Etiopii radosny zgiełk kolorów towarzyszy nawet śmierci. ○

## W NOWYM KWIECIE KWITNIE HANDEL

**W Addis Abebie najlepiej kupować odzież. Sprzedawcy oferują światowe wzornictwo w lokalnych cenach.**





Muzea nie są takie złe. W ostateczności, zwykle mają klimatyzację i darmowe toalety.

# BISKUPIN ATAKUJE



FOT. SHUTTERSTOCK

Oczywiście są też ludzie inteligentni i wykształceni – jakich zapewne wśród czytelników „Poznaj Świat” większość – i oni chadają do muzeów z ciekawości świata i ogólnego obycia. Też tak miałem, naprawdę, acz z wiekiem mnie przeszło. Punktem zwrotnym był dzień spędzony w British Museum, skądinąd najpopular-

niejszym obiektem turystycznym w Wielkiej Brytanii odwiedzanym rocznie przez 5,5 miliona osób!

Potwornie wymęczony poczułem spełnienie. W końcu widziałem wszystko: i mumie, i chińską porcelanę, i greckie marmury, po prostu wszystko co Brytyjczycy zdołali zwędzić ze świata całego. A zdołali zwędzić, przynajmy im to, sporo. Uff! –

pomyślałem – Już nie będę musiał chodzić do żadnych muzeów.

Słowa oczywiście nie dotrzymałem, ale przynajmniej od tego dnia mogłem chadzać tylko tam, gdzie miałem ochotę, a nie tam gdzie trzeba, wypada i obciach nie pójść. I tak na przykład moja noga nie postanie nigdy więcej w muzeach archeologicznych, na żadnych wykopal-

skach, starożytnych ruinach i takich tam rozsypanych się cudnościach. Bardzo przepraszam, ale jestem na takie atrakcje zasadniczo impregnowany. Owszem, zachwycam się irańskim Persepolis i – jak każdy chyba – jordańską Petrą, lubię budapesztańskie Aquincum (to głównie dlatego, że małe, a obok są zacne winiarnie), włączyłem się nawet z pewną przyjemnością po Syrii, ale trafiłem też do Dżaraszu i czar prysł.

I żeby było jasne, to małe miasteczko na północ od stolicy Jordanii, Ammanu, jest naprawdę ładne. Starożytne ruiny przyciągają tysiące turystów, jest miło, całkiem czysto, kulturalnie. Początkowo byłem



pod wrażeniem, jednak zmęczony upałem i długim spacerem postanowiłem znaleźć zacienione miejsce. Wdrapałem się na niewielkie wzgórze: z jednej strony cały kompleks ruin, a z drugiej ...tychże ruin fabryka. W czynnym wciąż kamieniołomie produkowali kolumny, kamienne bloki z których rekonstruowano ściany świątyń i pałaców, rzeźby, ornamenti. I dotarła do

mnie owa najstraszniejsza z prawd: ludzie, jesteście w Biskupinie!

Nie to, żebym występował przeciw tym uroczym ściemom, to wszak znakomity sposób do zapędzenia progenitury i wmaśniania im: „Patrzaj mały, tak żyli ludzie, kiedy nawet babci nie było na świecie”, no ale żebym tak sam, dobrowolnie, za własne pieniądze?! Zdaje się, że już kiedyś opisywałem jak wygląda dziś Babilon: piękna, świeżo pociągnięta niebieską farbą, z błyszczącymi w irackim słońcu złoceniami słynna brama Ishtar – wszystko to sprawia wrażenie raczej cyrku niż muzeum. Budowle sprzed kilku tysięcy lat bez ani jednego oryginalnego kamienia, wszystko

nówka sztuka wybudowane przy pomocy Niemców, którzy prawdziwy Babilon pokazują w berlińskim Pergamonie. Oryginalna jest tylko „cesarska droga”, czyli kawałek niepozornego bruku, po którym skądinąd stąpać nie wolno.

Bp też umówmy się, że jeżeli coś nie jest rekonstrukcją, owym „Biskupinem”, to zwykle nie nadaje się do publicznego pokazywania. Przekonałem się o tym również w Jordanii, gdy zechciało mi się podróżować autostopem. Szybko zatrzymała się prowadzona przez młodego Europejczyka terenówka. Kierowcą okazał się włoski ksiądz, historyk, misjonarz, wielbiciel futbolu (tego chyba nie musiałem dodawać, w końcu pisałem, że Włoch), który niejako przypadkiem okrył się sławą wielkiego archeologa. Andrea, z miną następcy Heinricha Schliemana, zawiózł mnie na stanowisko, gdzie odkopał ruiny wioski. Na tych terenach to niby nic szczególnego, bo w końcu mówimy o obszarach najgęstszej zaruinowania na kilometr kwadratowy, ale te były szczególne, bo starsze niż okoliczne, no i „świetnie zachowane”.

Ów świetny stan oznaczał, nie koloryzując, dokładnie tyle, że widać było kilka kamieni na kamieniu tworzących coś jak murki. Okazały się one, ech, ta moja ignorancja, zarysami ścian. Gwałtowny atak śmiechu uświadomił Andrei, że ma do czynienia z jednostką wyjątkowo wprost niewrażliwą na piękno antyku. Przekonała

się o tym po latach również moja całkiem prywatna małżonka, do dziś z oburzeniem opowiadająca, jak to w Rzymie przegoniłem ją po wszystkich możliwych kościołach, a nawet katowałem nocnymi wizytami w operze, ze wzdrganą prychającą na widok starożytności.

Moja antymuzealna fobia ma oczywiście swoje granice. Poza British Museum (a zwłaszcza British Library) jest kilka takich miejsc z cokolwiek oklepanym, ale nigdy dość reklamowanym Muzeum Powstania Warszawskiego na czele, do których chętnie zaglądam. Większość z nich wiąże się jednak nie tyle z jakąś tam niewiarygodną ekspozycją, ale z osobistym sentymentem. Nigdy nie zapomnę maleńkiego muzeum przyrodniczego w Listwiance nad Bajkałem, które zwiedzałem w towarzystwie łkającego ze wzruszenia amerykańskiego lekarza z Alaski. Facet ten całe życie, odkąd w dzieciństwie dostał atlas geograficzny i trafił ośmioletnim paluchem na tajemnicze jezioro, marzył o ujrzaniu Bajkału, wiedział o nim absolutnie wszystko i kiedy na początku lat 90. mógł tam wreszcie pojechać okazał się być znakomitym wprost przewodnikiem.

Z zupełnie innych przyczyn niewiarygodna była też wizyta we wspaniałym skądinąd muzeum ikon w Pskowie. To tam, po raz pierwszy i ostatni w życiu, widziałem kobietę modlącą się przed muzealnymi eksponatami. By zrozumieć to doświadczenie trzeba pamiętać o dwóch kwestiach. Po pierwsze ogromna większość wystawianych ikon była zrabowana przez władze sowiecką z okolicznych cerkwi. Ludzie szli więc tam, gdzie owe ikony były. I wreszcie, sprawa fundamentalna, ikona w kulturze wschodu to nie obraz, to realna rzeczywistość. Innymi słowy prawosławny wierny widząc Matkę Boską Pskowską nie widzi obrazu, ikony, ale stoi przed samą Marią. Trudno się więc dziwić, że często nie może się oprzeć, by nie paść na kolana...

I choć gdy jestem sam i większość muzeów omijam szerokim łukiem, to gdy podróżuję z rodziną zamieniam się w klasycznego nudziarza – tyrana goniącego dzieciarnię do tych wszystkich biletowanych atrakcji. I dobrze wiem, że pewnego dnia również oni zajdą do British Museum i kompletnie zmordowani odetchną z ulgą... ○



# DZIEŃ NARODZIN PAŃSTWA

W obiektywie Jarosława Szczepankiewicza



**9 lipca 2011** roku przewodniczący parlamentu Sudanu Południowego, James Wanilgga, formalnie ogłosił niepodległość swego kraju. W stolicy, Dżubie, zaprzyszęono nowego prezydenta Salva Kiira. Na maszt wciągnięta została nowa flaga. Przewodniczący parlamentu odczytał deklarację niepodległości. Choć większość mieszkańców nowego kraju to chrześcijanie, dokument stanowi, że Republika Południowego Sudanu „będzie państwem wieloletniczym i wielokulturowym”. W wyniku referendum, które odbyło się pół roku temu przytłaczająca większość głosujących opowiedziała się za odłączeniem Sudanu Południowego od Sudanu.



## Tajfun niegroźny

W Chinach oddano do użytku najdłuższy most świata. Qingdao Haiwan Bridge, łączy portowe miasto Qingdao z wyspą Huangdao. Ma ponad 42 km długości i znajduje się na nim 6 pasów ruchu. Most jest tak zaprojektowany, aby mógł wytrzymać trzęsienie ziemi o sile 8 stopni w skali Richtera oraz uderzenia tajfunów, które tutaj, nad zatoką Jiaozhou, są częstym zjawiskiem.

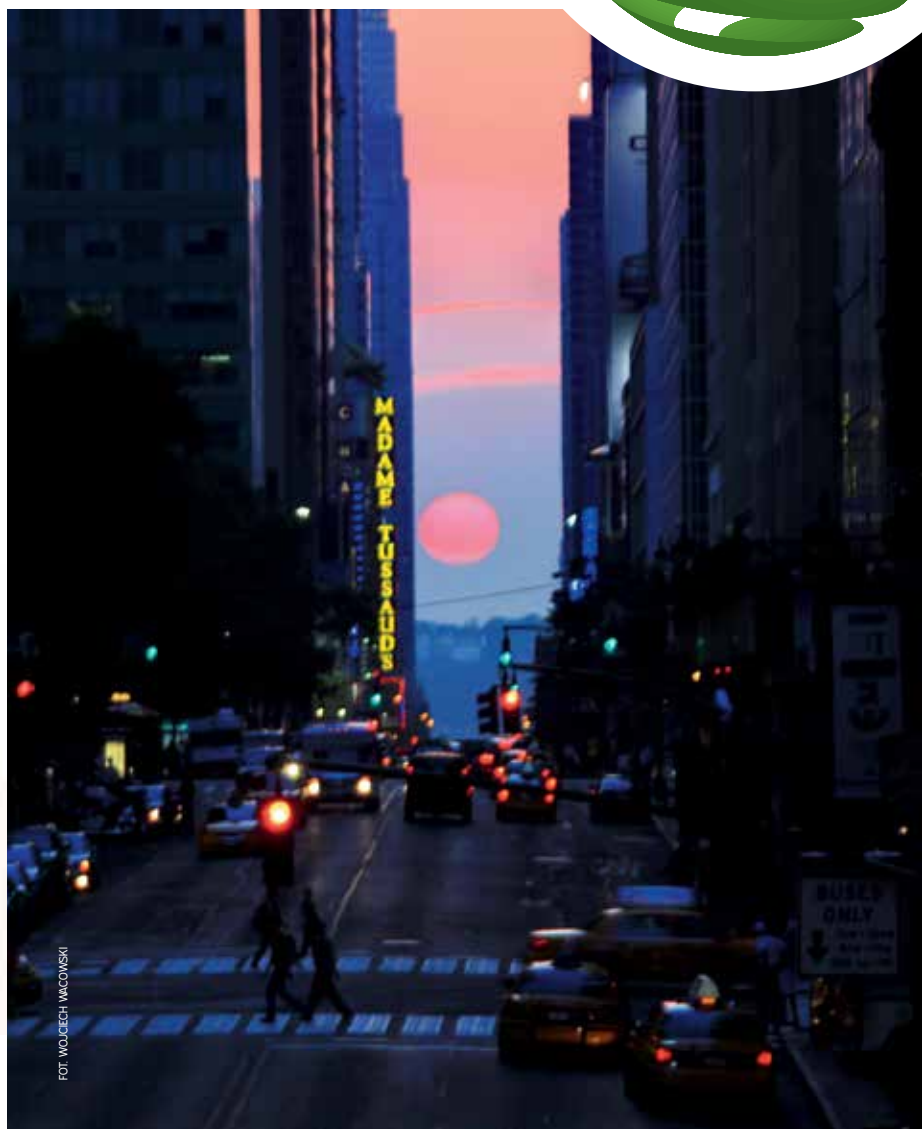
## Pingwinia eskapada

Młoda samica pingwina cesarskiego została atrakcją wybrzeży Kapiti w Nowej Zelandii. Aby dotrzeć tu z Antarktydy musiała przepłynąć około 3 tysiące kilometrów. Przyrodnicy nie wiedzą, co skłoniło zwierzę do takiej podróży.



## Rewolucja komórkowa

Co drugi mieszkaniec Afryki ma telefon komórkowy. Ten fakt zmienia Czarny Kontynent – zwraca uwagę brytyjski dziennik „The Guardian”, przywołując przykład Konga, gdzie wprowadzenie elektryczności jest towarem deficytowym, ale komórkę ma prawie każdy. Jej posiadanie pozwala zarabiać pieniądze i jest szansą na lepsze życie. Upowszechnienie prostego przyrządu do komunikacji wpłynęło na rozwój zniszczonego wojnami kraju i jest dowodem na drzemiący w Afryce potencjał – pisze brytyjski dziennik zadając pytanie, jakie korzyści odnieśliby mieszkańcy Afryki, jeżeli kontynent zostałby objęty programami pomocowymi wprowadzającymi pod strzechy Internet?



FOT. WOJCIECH WACOWSKI

# Manhattanhenge

Wojciech Wacowski

Tylko dwa razy w roku słońce zachodzi nad Manhattanem tak niezwykle – chowając się idealnie wzdłuż ulic wiodących w kierunku wschód-zachód. Amatorzy fotografowania tłumnie wylegają wtedy na aleje nowojorskiej wyspy. Największą popularnością cieszą się dwa plenery: 34th Street – zdjęcie z tego miejsca pozwala na umieszczenie w kadrze Empire State Building – oraz 42nd Street, gdzie można sfotografować klasyczny nowojorski drapacz chmur – Chrysler Building. Godne polecenia są również: 14th, 23rd i 57th Street. Zjawisko, które w tym roku miało miejsce: 30 maja i 13 lipca, określa się mianem Manhattanhenge, bądź manhattańskim przesileniem. Nazwy nawiązują do Stonehenge w Wielkiej Brytani, gdzie znajduje się słynny megalityczny krąg kamienny, wzniesiony rzekomo ku czci słońca i księżyca. W dni przesilenia letniego gromadzą się tam wyznawcy druidyzmu.

## MÁLAGA

## Flamenco na ulicy

W czasie fiesty dla Hiszpanów najważniejszy jest taniec i śpiew. Do tego nieodzowne są także wino i smaczkowite przekąski – tapas.

W andaluzyjskiej Maladze od 12 do 21 sierpnia odbywa się Feria – wielkie święto będące połączeniem religijności, tradycji i nowoczesności. Jest ono nawiązaniem do ważnego wydarzenia, które miało miejsce w XV wieku, kiedy Malaga, odebrana Arabom, znowu stała się katolickim miastem i przyłączono ją do Kastylii.

Święto zaczyna się o północy spektaklem sztucznych ogni na plaży La Malagueta. Od tej chwili przez 9 dni mieszkańcy i turyści już tylko świętują, z krótką przerwą na sen. Feria to śpiew, barwne stroje, spontaniczne uliczne flamenco i lejące się strumieniami białe wino Cartojal.



BILBAO

## Wystrzałowa fiesta

Aste Nagusia, nazywana przez miejscowych Wielkim Tygodniem, to święto, które z wielkim hukiem odbywa się w baskijskim mieście Bilbao od 20 do 28 sierpnia. Wprawdzie początki świętowania sięgają XIX wieku, ale dopiero od czterdziestu lat tutejsza fiesta jest tak bogata i różnorodna, że wydarzenie zajęło pierwsze miejsce na liście Dziesięciu Skarbów Niematerialnego Dziedzictwa Kulturalnego Hiszpanii.

Ilość wydarzeń, które odbywają się tutaj w tym czasie, przysparza o zawrót głowy. Na scenach plenerowych prezentują się muzycy, zespoły teatralne i taneczne. Organizowane są pokazy pirotechniczne i zawody pelota, czyli popularnej w Kraju Basków

gry przypominającej tenis. Całe miasto zamienia się w ogromną otwartą scenę.

Świętowanie zaczyna się punktualnie o 19.00. Wtedy na Plaza Arriaga odpalona zostaje petarda nazywana txupin. Na ten sygnał na plac wtaczana jest wielka kukła Marijaia, czyli „Pani Święt”, postać baskijskiej mitologii. Kukła patronuje świętowaniu do ostatniego dnia Aste Nagusia, kiedy zostaje spalona i tym samym kończy się czas fiesty.

Oprócz wielu atrakcji kulturalnych podczas Aste Nagusia, można spróbować typowych dla Kraju Basków dań – grillowanych ryb, owoców morza oraz miejscowego wina.



FOT. BEATA PERNAK

FOT. BEATA PERNAK

FOT. BEATA PERNAK

FOT. BEATA PERNAK

BUÑOL

## Batalia na pomidory

W ostatnią środę sierpnia na Costa Blanca zaprasza Buñol, miasteczko położone niedaleko Walencji. Tego dnia odbywa się tutaj słynna La Tomatina – walka na pomidory. Wydarzenie to przyciąga dziesiątki tysięcy turystów z całego świata.

Pomidorowi wojownicy najpierw spotykają się na Placu Ludowym i głośnym wołaniem „Tomate! Tomate!” domagają się amunicji. Tylko czekają na ten sygnał stojące w pobliżu ciężarówki wypeł-

nione pomidorami. Bitwa trwa 60 minut. W tym czasie nie tylko walczą, ale też wszystko dokoła jest „pomidorowe”.

Dodatkową atrakcją, wzbudzającą duże emocje są zawody o zdobycie szynki umieszczonej na szczycie namydlonego pala. Każdy śmiałek stający do tej konkurencji może liczyć na aplauz tłumu i pryszcic. Serwują go mieszkańcy pobliskich kamienic. La Tomatina to adrenalina i wyśmienita zabawa!

NOTTING HILL CARNIVAL  
LONDYN

## Karaiby w Londynie

W ostatnich dniach sierpnia (w tym roku od 27 do 29.08) Londyn mieni się feerią karaibskich barw i rozbrzmiewa rytmemi samby. Jak co roku, podczas festiwalu Notting Hill Carnival świętuje całe miasto. Wówczas odbywa się też największa w Europie uliczna parada.

Wydarzenie zapoczątkowali londyńczycy pochodzący z Karaibów. Dziś festiwal trwa 3 dni. Sobota to dzień konkursów zespołów grających na steel drums – blaszanych bębnach używanych na Trinidadzie i Tobago. Niedziela należy przede wszystkim do dzieci, dla których na ten jeden dzień ulice zmieniają się w place zabaw.

Kulminacyjnym punktem festiwalu jest poniedziałek. Z tej okazji w mieście ogłaszany jest bank holiday, czyli dzień wolny od



pracy. Londyńczycy tworzy roztańczony korowód przebierańców, który przechodzi ulicami Great Western Road, Chepstow Road, Westbourne Grove i Ladbroke Grove. Wieczorem uczestników przemarszu można spotkać w klubach i pubach, gdzie zabawa trwa do rana.

# Jubileuszowe regaty

**X**Regaty o Srebrną Szekłę Przystani Lipa odbędą się w ostatnią sobotę wakacji, 27 sierpnia. Zadaniem żeglarzy będzie opłynięcie dwóch wysp: Ostrowa Małego oraz Glonka. Jak co roku jedną z najbardziej oczekiwanych atrakcji będzie losowanie wśród gości głównej nagrody – łodzi żeglarskiej. Najważniejszym celem regat jest zachęcenie do aktywnego spędzania wolnego czasu, a miejsce stwarza ku temu liczne możliwości. Półwysp Lipa to ośrodek na Kaszubach położony nad wschodnim brzegiem jeziora Wdzydze, na obszarze Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego. Okoliczne lasy sosnowe sprzyjają wędrówkom, spacerom nordic walking i jeździe na rowerze. W jeziorze można pływać, wędkować i uprawiać sporty wodne takie jak żeglarstwo, windsurfing czy kajakerstwo.



## NA SPOTKANIE PÓŁNOCY

**W**rejs wokół Bieguna Północnego wyruszyła żeglarska wyprawa „Arctic Expedition 2011”. Jej członkowie, znana z naszych łamów Monika Witkowska i szwedzki żeglarz Borje Ivarsson, udali się na arktyczne wody w lipcu na małym jachcie „Anna”. Wypłynęli z kanadyjskiego portu Inuvik. Przez Morze Barentsa i Morze Czukockie chcą dotrzeć do rosyjskiej wyspy Wrangla, a następnie na Czukotkę.

Celem ekspedycji pod polską i szwedzką banderą jest także eksploracja odwiedanych miejsc, obserwowanie przyrody, spotkania z ludami północy. Jeśli wszystko potoczy się planowo, „Anna” wróci na Alaskę na początku października, gdzie w porcie Nome spędzi kolejną zimę.

więcej: [www.arcticexpedition.pl](http://www.arcticexpedition.pl)

POD NASZYM PATRONATEM

## Przez Marsylię i Madryt do Maroka

**Z**Polski do Maroka jedzie dwudziestu rowerzystów ze



Stowarzyszenia Młodzieżowego Niniwa przy parafii Najświętszej Maryi Panny Królowej w Kokotku-Lublińcu. Wyjechali w lipcu, powrót planują po sześciu tygodniach. Do przejechania mają pięć tysięcy kilometrów. Droga prowadzić będzie przez dwanaście krajów. Rajd, nazwany „Tour de Mazenod”, związany jest z obchodami 150 rocznicy śmierci Założyciela Misjonarzy Oblatów, św. Eugeniusza de Mazenoda. Miasto św. Mateusza, Marsylia, to jeden z głównych przystanków rajdu. Na pewno też rowerzyści z Niniwy zatrzymają się w Madrycie, gdzie od 16 do 21 sierpnia odbędą się będą Światowe Dni Młodzieży. więcej: [www.tourdemazenod.pl](http://www.tourdemazenod.pl)



# Nie tylko dla żeglarzy



FOT. URZĄD MIASTA SOPOTU

**O**d lipca przy sopockim moście działa przystań jachtowa. Marina to nie tylko miejsce postojowe dla jachtów, ale także dodatkowa atrakcja turystyczna, która przyciągnie do Sopotu żeglarzy.

Przystań otoczona jest ostrogą moła oraz nowymi falochronami – wschodnim i południowym. Wewnątrz portu, w trzech basenach wydzielonych pomostami pływającymi przewidziano miejsce dla ponad stu jachtów (40 miejsc dla łodzi o długości od 10 do 14 m oraz 63 miejsca dla łodzi o długości do 10 m). Na głowicy moła powstał budynek bosmanatu i zaplecze socjalne dla żeglarzy. Nowa marina umożliwi organizację imprez żeglarskich na najwyższym poziomie, a także jest dosko-

nałą bazą do prowadzenia szkolenia żeglarskiego dla sopockiej młodzieży. Mogą z niej korzystać nie tylko żeglarze, ale także służby ratownicze WOPR oraz, w sztormową pogodę, sopoccy rybacy.

Dla mieszkańców Sopotu i odwiedzających miasto turystów niezwykle istotne jest to, że wybudowane falochrony stanowią skuteczne zabezpieczenie zabytkowego sopockiego moła przed działaniem fal i wiatrów. Budowa przystani rozpoczęła się w styczniu 2010 roku. Koszt inwestycji wyniósł 70,7 mln złotych. 25 mln wyniosło dofinansowanie ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Pozostała kwota pochodzi z budżetu Gminy Miasta Sopotu.

POD NASZYM PATRONATEM

## Wyścig z niespodzianką

Kolarski sezon trwa. Ci, którzy jeszcze nie mieli okazji powalczyć w terenowych wyścigach mogą to zrobić w zawodach cross-country AZS MTB CUP. Będą jeszcze 2 biegi: 21 sierpnia w Cieszynie i 25 września w Zabrze. Obie trasy – dobrze znane uczestnikom z poprzednich lat, zostały w tym roku nieco zmienione i urozmaicone. Warto przyjść i spróbować swoich sił, zwłaszcza, że dla każdego uczest-

nika przewidziane są upominki: skarpetki (Nordhorn), batoniki i żele (Nutrend), smary rowerowe (Brunox). Dla zwycięzców nie zabraknie nagród. Będą to: tablet (COBY Kyros), aparaty i kamery (BenQ), zegarki (G-shock), okulary (Google), bagażnik (Taurus). Podczas wyścigów będzie również można wypożyczyć i przetestować kamery GoPro.

Szczegóły na: [www.azsmtbcup.com](http://www.azsmtbcup.com).

Na naszej stronie  
[www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl)  
znajdziesz:

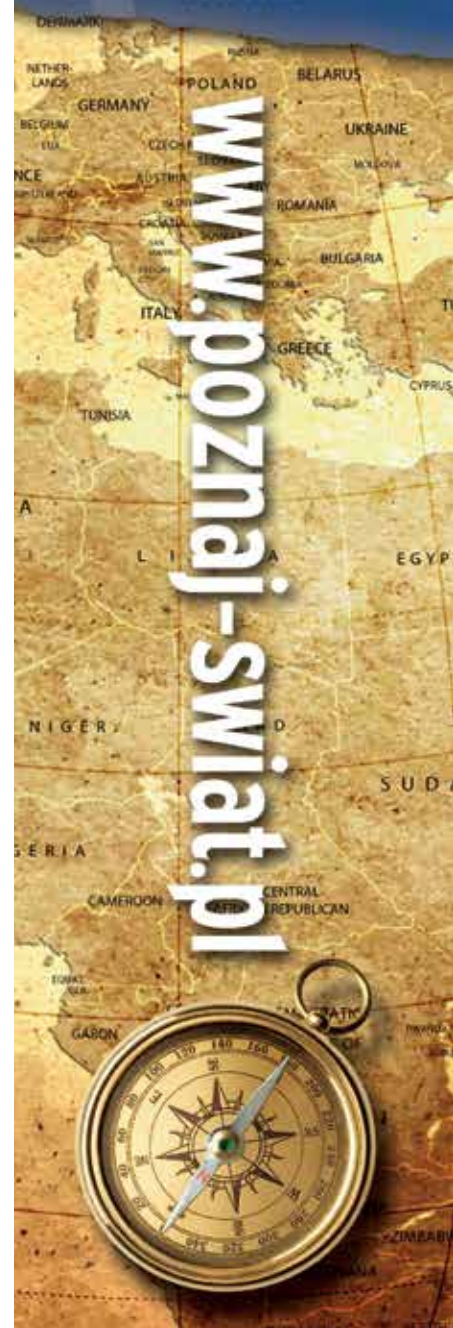
🕒 łatwy dostęp do  
PRENUMERATY

🕒 aktualności i konkursy

🕒 coraz bogatsze archiwum

🕒 za miesiąc elitarny  
Klub Sześciu Kontynentów

szukaj nas także na  
Facebooku!





# INDIANIE, KASYNA, ŁOSOSIE...

Józef Baran



*„Dobry Indianin to martwy Indianin” – mawiało się tu kiedyś. Teraz dobrym duchem miasteczka Joseph w stanie Oregon jest nieżyjący od ponad 100 lat „chief” Joseph, obecny w nazwach głównej ulicy, hotelu, poczty, posterunku szeryfa i sklepów. „Chief” Joseph z pióropuszem na głowie wygląda na billboardach jak wyprawiona sowa przynęcająca turystów. Pełno go na wyrobach i gadżetach, w sklepach, gdzie kwitnie wskrzeszany trochę sztucznie folklor indiańsko-kowbojski.*



**A**przecież, los patrona miasteczka nie był wiele lepszy od losu innych Indian. Niegdysiejszy wódz plemienia Nez Perce („Przeklętych nosów”) wstąpił się w 1877 mądrością w walkach z białymi. Prowadził z nimi pokojowe pertraktacje, a w końcu podjął decyzję wycofania się przed nacierającym wojskiem. Indianie zostali zepchnięci z terenów Idaho o 2700 kilometrów w stronę granicy kanadyjskiej. W rezerwach umierali podczas epidemii malarii wywołanej bagiennym klimatem. Sam zaś wódz Joseph zmarł w 1904 w rezerwacie Colville, w stanie Waszyngton. Dopiero w kilkadziesiąt lat po jego śmierci Indianom Nez Perce zezwolono na powrót do stanów Oregon i Idaho. A od kiedy jedno z miasteczek w Oregonie nazwano imieniem wodza, wiedzie on pośmiertny żywot, jako atrakcja i atrapa turystyczna...

## GROM NAD GÓRAMI

Tak brzmiało indiańskie imię wodza Józefa, przywódcy plemienia Nez Perce.



## NASZ CZŁOWIEK Z KEENWICK

Dwa lata temu wykopano na terenie rezerwatu Indian szczątki człowieka z Keenwick sprzed 10 tysięcy lat. O te szczątki wybuchł gwałtowny spór. Biali Amerykanie upierali się, że możliwa jest hipoteza, iż są to szczątki Europejczyka. W związku z tym prosili Indian o ich „wypożyczenie” do analizy antropologicznej. Jednak Indianie nie zgodzili się, bo według ich wierzeń nie należy zakłócać spokoju zmarłych. Oczywiście podtekst sprawy był polityczny. Spór o człowieka z Keenwick dotyczył w istocie tego, kto pierwszy zasiedlił Amerykę – czerwonoskórzy czy biali. Gdyby biali udowodnili swoje pierwszeństwo, poczuliby się może nieco dowartościowani moralnie, choć zachodzi pytanie, czy to miałyby w czymkolwiek umniejszyć ich winę za pogrom Indian?

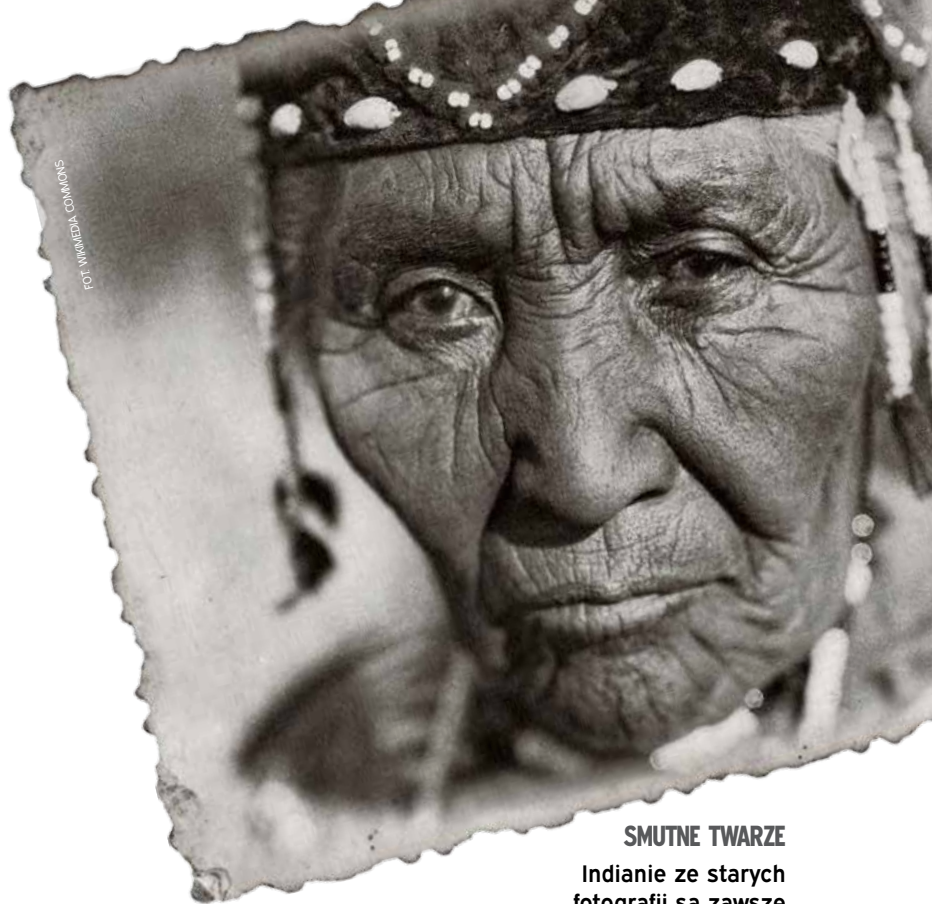
## REZERWATY

Niedobitki Indian mieszkają dziś w rezerwach, a więc na specjalnie wytyczonych, choć wcale nie odgrodzonych od innych – jak myślałem naiwnie – terenach, przez które wiodą autostrady. Przejeżdżaliśmy kilkakrotnie przez ich ziemie. Oprócz miasteczka Joseph w Oregonie odwiedziliśmy rezerwat Lapwai w Idaho, liczący około tysiąca mieszkańców. Biednie tu, trochę jak u naszych Cyganów w Czarnej Górze, ale nie brakuje oczywiście szkoły, szeryfa, policji, sklepów. Niektórzy Indianie mieszkają w przyczepach, ale w większości wypadków – w domkach. Tu i tam biegają i bawią się z psami dzieci. Na pastwiskach puszczane luzem konie: gniade i srokacze.

Zajrzeliśmy też do znajdującego się niedaleko Lapwai muzeum, gdzie oprócz Sali z tradycyjnymi eksponatami staroindiańskimi – znajduje się osobne pomieszczenie z powiększonymi starymi fotografiami na ścianach. Stoją na nich jak cienie rodziny indiańskie przed swoimi tipi. Puste smutne oczy mówią, że należą do ludzi okradzionych z duszy, którzy nie są już sobą.

Obejrzeliśmy film o historii plemienia i o życiu współczesnych Indian Nez Perce, którzy są obecnie w Idaho właścicielami 86 akrów (około 40 ha) nieurodzajnej ziemi.

Dwa lata temu zdarzył się w życiu plemienia bezprecedensowy przypadek. W miejscowości Wallowa członkowie tego plemienia za zebrane dolary dokupili 65 akrów ziemi, by założyć swoje centrum. Po 120 latach był to pierwszy w Ameryce Północnej przypadek, gdy ziemia wróciła do prawowitych właścicieli. Inna sprawa, że do stworzenia projektu i założenia Fundacji Wallowa Band Nez Perce walenie przyczynili się biali mieszkańcy Wallowa, wietrząc w tym interes. Liczą na to, że Indianie staną się wabikiem ściągającym turystów do tego zakątka Ameryki...



**SMUTNE TWARZE**  
Indianie ze starych  
fotografii są zawsze  
poważni i zatroskani.

## HAZARDOWA ZEMSTA

Jednak prawdziwą rewolucję w życiu współczesnych plemion spowodowały kasyna gry, pojawiające się po roku 1998, gdy Kongres USA uchwalił, a prezydent Reagan zatwierdził, ustawę zezwalającą na organizowanie przez Indian różnych form hazardowych, m.in. salonów bingo, kasyn, wyścigów konnych.

Ustawa o indiańskim hazardzie stała się dla potomków dawnych „właścicieli” Ameryki źródłem dużych korzyści materialnych. Także dla tych z Idaho, którzy – podobnie jak Indianie w większości stanów, gdzie prawo zakazuje Amerykanom prowadzenia kasyn – mają na nie wyłączność. Mówi się, że dzięki tej ustawie niektóre plemiona stały się bardzo bogate.

Parę lat temu dwieście z ponad pięciuset indiańskich plemion prowadziło ponad 300 kasyn gry i salonów bingo w 30 stanach Ameryki. Jaka jest klientela kasyn gry? Odwiedziliśmy jedno z nich znajdujące się w rękach szczepu „Coldine Indians”, mieszkającego na północy od Moscow.

W środku – w rzędach – setki automatów do gry. Siedzą przy nich niewolnicy hazardu i wpatrują się w ekrany monitorów. Przeważnie Biali, choć zdarzają się też Czarni. Są mężczyźni i kobiety. Wiek najczęściej średni. Dużo grubasów. Pocho-





FOT. BEŚW

### OGRAĆ BIAŁEGO

Zyski z kasyn są szansą na to, że rozpijani przez wieki Indianie staną wreszcie na nogi.



FOT. BEŚW

dzą z tzw. lower middle class. Niektórzy z papierosami w rękach, bo tu wolno palić! Kilka długich kilkusetmetrowych sal, gdzie toczy się gra. Kawiarnia, restauracja, gdzie kręcą się kelnerki-Indianki. Choć nie zawsze, bo Indianie zatrudniają tu też białych. Krupierami są za to wyłącznie Indianie, którzy wreszcie mogą się „odegrać na najeżdźcach” i dać im w kość za czas rezerwatowej wegetacji na nieużytkach.

Zgodzono się na te kasyna, żeby przynajmniej częściowo zrekompensować Indianom krzywdę. Za pieniądze z kasyn – budują oni m.in. szkoły. Zyski z kasyna są nawet wabikiem dla białych, którzy... składają wnioski o wejście w poczet członków plemion...

## ŚWIĘTA RYBA

Istotną rolę w życiu niektórych plemion indiańskich odgrywał łosoś. Jego podobizna widniała na wielu totemach, a w wierzeniach funkcjonował jako święta, magiczna ryba.

Przeczytałem o tym w wierszu współczesnego poety indiańskiego o nazwisku Phil George. Kupiłem sobie jego tomik „Babcia” w muzeum Nez Perce. Autor naprawdę miał nazwisko typowo indiańskie, złożone z paru wyrazów. W języku polskim brzmi ono: „Dwa stada gęsi jaśniejące nad ciemnymi wodami”. Dla nauczycielki uczącej go w szkole było ono jednak zbyt trudne do wymówienia, więc nazwała go George. On sam sobie dodał Phil i tak zostało, choć poeta jest czystej krwi Indianinem. Senator z Idaho Frank Church czytał jeden z jego wierszy przed Izbą Reprezentantów w Washington. Leszek Czuchajowski przybliżył mi go swoim tłumaczeniem. „Powrót łososią” – bo taki jest tytuł tekstu – wiele mówi o stosunku emocjonalnym Indian do tej ryby:

*Jak wielu moich przodków  
Przebijam cię łososiu  
Który rozpryskujesz wodę i ciskasz się  
W rzecze (...)*

*Twe iglastoostne ciało  
Babcia oplecie wierzbowymi witkami*

*Przy nocnym ognisku będziesz się piekć  
Aż tłuszcz zacznie wyciekać z ciebie, kąpiąc  
i skwiercząc*

*Mój lud nie jest głodny  
Pościmy śpiewamy uczujemy*

*Oby twój duch żył zawsze, mój ty przyjacielu  
Nawet w księżycu wielkich wód*

*Ze stonych wód płyniesz w górę rzeki  
Pamiętamy, że  
powracasz do domu by umrzeć*

## ŁOSOŚ NA DRABINIE

Dziś łososiowi grozi wyginięcie, choć trzeba przyznać, że robi się tu co może, aby temu przeciwdziałać. W końcu łososie zawsze przynosiły gospodarce amerykańskiej ogromne zyski. Na eksporcie tych ryb – które dochodziły w swojej wadze nawet do 40 kg żywej wagi – zarabiano się setki milionów

dolarów. Jak szacują eksperci, badający populacje łososi w rzekach regionu Pacific Northwest, zasoby ryb zmniejszyły się ośmiokrotnie. Do ich zagłady przyczyniły się zapory wodne.

Istniało co najmniej kilka gatunków łososa. Ich powrót z oceanu na tarło, przebiegał karkołomną trasą liczącą kilkaset mil. Taki na przykład łosóś z południowej części Idaho musiał przebyć drogę z Pacyfiku do jeziora Red Fish Lake, oddalonego o około 1300 kilometrów. Tam składał ikrę, przekazując dziedzictwo następnemu pokoleniu, po czym umierał. Z kolei, młode łososie po osiągnięciu kilku centymetrów długości, jako tzw. palczaki spływały z prądem rzeki do Pacyfiku, by po paru latach odbyć tę samą drogę, ale już pod prąd, skacząc od czasu do czasu nad falami i nad przeszkodami... Tak było do końca XIX wieku, gdy w Idaho zaczęli się pojawiać biali osadnicy. Do jeziora docierało naraz tak wiele ryb, że stawało się ono w okresie tarła całkiem czerwone od łososi – stąd nazwa Jezioro Czerwonej Ryby. Niestety, prawie cały ten gatunek wyginął z powodu kilkunastu zapór, przegradzających rzeki Columbia River i Snake River. Odcięto w ten sposób drogę powrotną łososiowi. Aby zaradzić jakoś tej sytuacji, wymyślono przejścia zwane drabiną rybną. Ryby mogą płynąć pod prąd zygzakami i w ten sposób pokonywać sztuczny spad spowodowany zaporą. Na skutek tego droga łososa wydłużyła się jednak z dwudziestu paru dni do pięćdziesięciu paru. Ryby są przez to znacznie słabsze, kiedy dochodzą na tarło, a i samo tarło jest mniej udane. Wiele osobników ginie, bo nie może znaleźć drogi do miejsca urodzenia...

Jak się temu próbuje zaradzić? Przede wszystkim, łososie znajdują się pod ścisłą kontrolą, są punkty obserwacyjne na zaporach, gdzie się je liczy. Wylawia się też młode osobniki i transportuje autami do rzeki w jej dolnym biegu.

Powstał nawet specjalny system wylęgu ryb: są sztucznie zapładniane, a po urodzeniu przewozi się je specjalnymi ciężarówkami prosto do ujścia rzeki wpadającej do oceanu, aby skrócić im drogę.

Dziś, mimo że łososie zostały mocno przetrzebione, przetrwało ich proporcjonalnie wielokrotnie więcej niż Indian, których – w najlepszych okresach – było co najmniej kilkanaście milionów. A ilu potomków pozostało po dawnych wolnych szczeplach? Czy jest to ćwiartka procenta czy połówka? W każdym razie niewiele... ○



#### ŁOSOSIE ZA PSZENICĘ

Zapory są zagrożeniem dla łososi. Ale to dzięki nim na półpustynnych terenach rozwinęła się uprawa pszenicy.

W 1979 roku otrzymałem propozycję wyjazdu do pracy w charakterze polskiego konsula w Kantonie. Moim głównym atutem była znajomość chińskiego, gdyż bez tego języka funkcjonowanie na placówce w odległej, południowej prowincji Guangdong nie było w ogóle możliwe.

## RZĘKA PERŁOWA I HISTORIA PEWNEGO SŁOIKA DO DŻEMU

**W** 1979 roku otrzymałem propozycję wyjazdu do pracy w charakterze polskiego konsula w Kantonie. Moim głównym atutem była znajomość chińskiego, gdyż bez tego języka funkcjonowanie na placówce w odległej, południowej prowincji Guangdong, nie było w ogóle możliwe.

Kanton końca lat siedemdziesiątych był zupełnie innym miastem, niż dziś. Okres rewolucji kulturalnej wprawdzie dobiegał już końca, ale warunki życia na wyspie Shamian, gdzie mieścił się konsul, były nie do pozazdroszczenia. Zgodziłem się tam wyjechać, choć dobrze wiedziałem, jak uciążliwy jest miejscowy klimat – upalny i wilgotny, i gdzie dodatkowo można nabawić się malarii czy amebiozy. W tym czasie nie było w Kantonie chleba, serów, wędlin typu europejskiego, mleko zaś tylko bawole. Nie można było nigdzie wyjechać – nawet za rogatki miasta. Na dodatek w pobliżu rozgorzała wojna chińsko-wietnamska.

W ciągu kilku miesięcy sytuacja diametralnie się zmieniła. W grudniu definitywnie zakończyła się rewolucja kulturalna. Wygasła wojna. Deng Xiaoping, chiński przywódca, ogłosił program reform prorynkowych. Chiny zaczęły się otwierać. Obcokrajowcom udostępniano coraz to nowe, zamknięte dotychczas strefy wojskowe, lotniska, miejscowości słynące z walorów przyrodniczych i zabytków kultury.

Na wyspie Shamian coraz częściej zaczęli pojawiać się brytyjcy, francuzi i amerykańscy turyści. Mocno już starsi, pamiętający jeszcze z pewnością czasy, gdy mówiło się tam tylko po angielsku lub po francusku, a wyspę strzegli przed Chińczykami wierni Anglikom egzotyczni Sikhowie, w młowniczych zawojach na głowach.

### 愛

Po przegranej wojnie opiumowej z 1840 roku Chiny zostały zobowiązane do otwarcia swoich portów dla handlu zagranicznego. Jednak dopiero zdobycie w 1857 r. Kantonu przez wojska anglo-francuskie i jego czteroletnia okupacja, utworowały drogę do powrotu europejskim kupcom, którzy, tak jak słynni Jardine & Matheson, wzbogacili się na nielegalnym handlu opium. Ponieważ stare faktorie były zrujnowane Anglicy tymczasowo zamieszkali w pobliżu magazynów nad Rzeką Perłową. Wkrótce jednak znaleziono im bardziej odpowiednie miejsce. Była to piaszczysta łacha, utworzona przez rzekę tam, gdzie zmieniała ona kierunek niemal pod kątem prostym. Mielizna nazywała się Shamian (Szamian) – Twarz Piasku. Po dwóch latach kosztownych robót (za 325 tysięcy ówczesnych dolarów) powstała tu sztuczna wyspa, oddzielona od lądu szerokim kanałem. Większość kosztów budowy ponieśli Anglicy. Oni

też szybko zagospodarowali swoją część wyspy. Powstały tu otoczone ogrodami wille kupców, kościół ewangelicki, klub, banki, imponujący Concordia Theatre, hotel Victoria, a nawet pola golfowe.

Na wyspie stacjonował garnizon żołnierzy i niemal bez przerwy zakotwiczone były przy niej angielskie okręty wojenne. W Chinach narastały ruchy antydy nastyczne, antykolonialne i antyimperialistyczne i nawet tak dobrze chroniona enklawa, jaką była wyspa Shamian, nie okazała się być w pełni bezpieczna. Podczas rozruchów 1883 roku tłum kantończyków wdarł się na Shamian i spalił 16 domów oraz dumę Anglików – Concordia Theatre.

### 愛

Guangdong był jedną z tych prowincji, które torowały drogę reformom Deng Xiaopinga. Od pierwszego dnia pobytu w Kantonie stałem się mimowolnym obserwatorem szybkich zmian w tutejszej gospodarce, traktowanych jako eksperymentalne. Naprzeciwko mostu prowadzącego do miasta z wyspy Shamian zaczynała się wąska uliczka Qingpinglu, która wkrótce stała się sławną wśród cudzoziemców przyjeżdżających do Kantonu. Otwarto na niej pierwsze w Chinach po rewolucji kulturalnej wolnorynkowe targowisko. Tutaj można było kupić mięso, warzywa i owoce



z chłopskich gospodarstw. Na prywatnych stoiskach oferowano chińskie leki, nie wyjącając cennych skorpionów, korzeni pseudożeńszeni i kości tygrysów. Były też specjały kuchni kantońskiej: węże, żaby, pancerniki, cywety i wiele innych. Na samym końcu ulicy usadowili się handlarze staroci. Nie były to żadne antyki, ale zezwolono na prywatny handel chińskimi drobiazgami z ostatnich stu lat. Trafiały tam niekiedy stare angielskie fajansowe talerze i różne przedmioty domowego użytku pozostałe po dawnych cudzoziemskich mieszkańcach.

## 愛

Kiedyś spacerując po rynku dostrzegłem nieduży kolorowy, ceramiczny angielski słoik, jak się później okazało, do dżemu. Zaciekała mnie znajdująca się na nim naklejka z obrazkiem, na którym były szpalery wojska, jakiś orszak, brytyjskie lwy z koroną i trzepoczące na wietrze sztandary oraz data 1863. Nie interesowałem się wówczas historią Anglii, ale ze względów rodzinnych zawsze pasjonowało mnie wszystko, co było związane z powstaniem stycznym. Tu ten związek był symboliczny, jedynie ze względu na datę. Kupiłem poobijaną kamionkę i dopiero po kilku dniach zorientowałem się, że upamiętniono na niej epizod przyjazdu do Londynu duńskiej księżniczki Aleksandry przeznaczonej na żonę następcy tronu księcia Walii, przyszłego króla Edwarda VII. Przypomniał mi się ten fakt po trzydziestu latach, oczywiście w związku z tak szeroko nagłośnionym małżeństwem księcia Williama z Kate Middleton. Środki przekazu porównywały go przeważnie z małżeństwem księcia Karola z księżną Dianą, ale interesujące są także różnice i podobieństwa tej ceremonii z tamtą, sprzed blisko stu pięćdziesięciu lat.

## 愛

Księżę Walii, Albert Edward, był synem królowej Wiktorii i księcia Alberta. Małżeństwo z liczącą 16 lat Aleksandrą zaaranżowała mu matka. Ceremonia ślubu odbywała się jeszcze w cieniu żałoby. Księżniczka Aleksandra przybyła z Kopenhagi królewskim jachtem Victoria & Albert do Gravestone, stamtąd pociągiem do Londynu w dniu 7 marca 1863 roku. Władze Londynu witały ją przy Wielkim Łuku (Grand Arch) przy moście London Bridge. Na jej powitanie wyległo na ulice 80.000 londyńczyków. Na udekorowanie miasta wydano równowartość 10.000 ówczesnych dolarów. Władze porządkowe nawet z pomocą wojska nie były w stanie zapanować nad tłumem. Doszło do wypadku. Tuż obok księżęcego powozu spadł z konia eskortujący karocę

oficer kawalerii i kopyto konia utkwiło między szprychami koła. Aleksandra, która świetnie jeździła konno, wyskoczyła z karety i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przy aplauzie zgromadzonych, wyswobodziła nogę konia ze szprychowej pułapki. Właśnie jeden z momentów powitania przyszłej królowej z napisem „Anglia cię błogosławi” na Wielkim Łuku, został uwieczniony na moim słoiku do dżemu. Pewnie takie gadżety sprzedawały się wówczas równie dobrze, jak ostatnio porcelanowe filiżanki z wizerunkami księcia Williama i Kate.

Od sprzedawcy słoika dowiedziałem się, że znaleźli go w szlamie Rzeki Perłowej wieśniacy, przygotowujący miejsce pod budowę luksusowego hotelu, którą finansował milioner z Hongkongu.

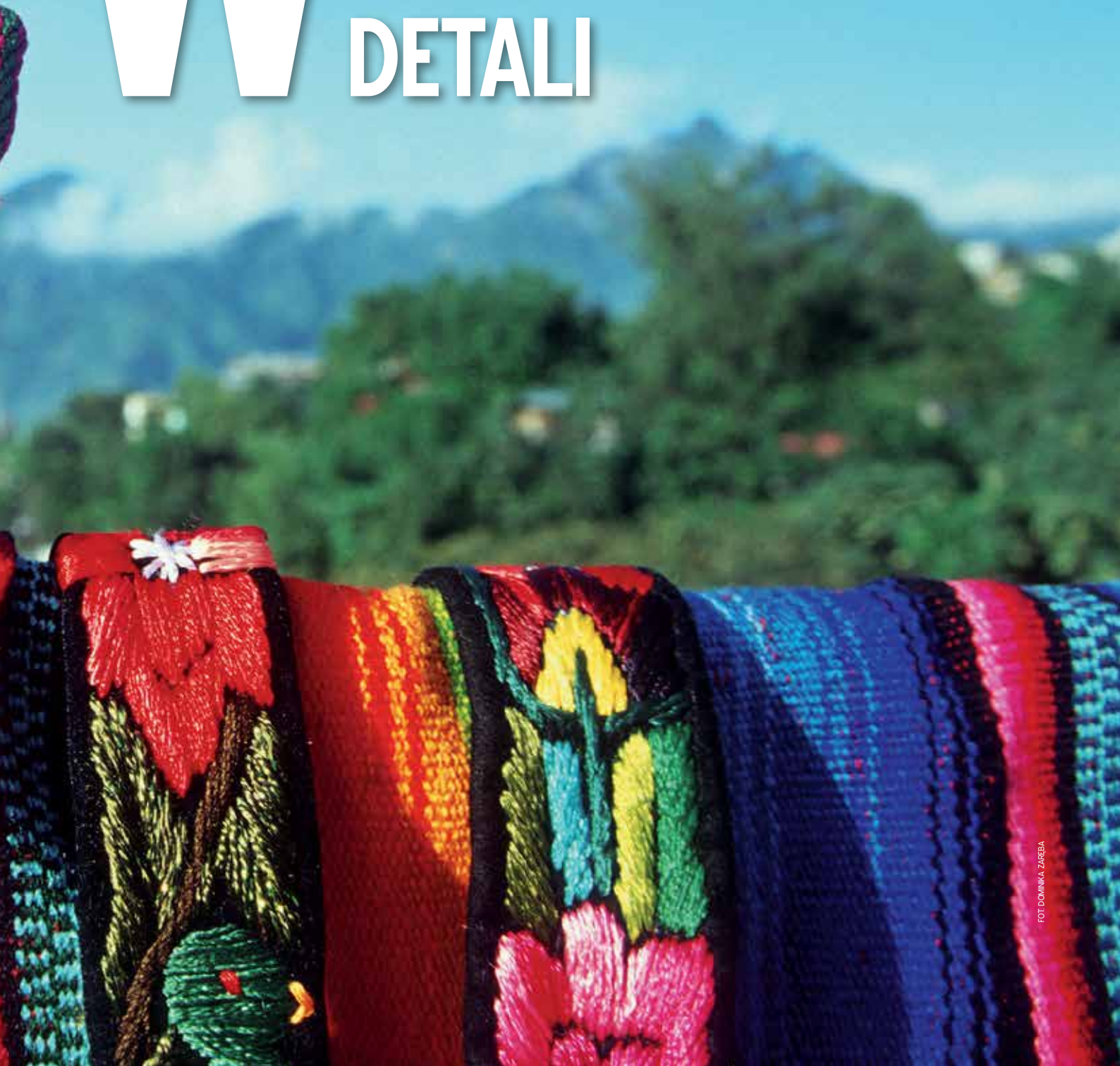
Kamionkowy słoik z Rzeki Perłowej już nie jest moją własnością, podarowałem go córce. Pozostały wspomnienia i zdjęcia z tego burzliwego, lecz dla mnie szczęśliwego trzyletniego pobytu na podzwrotnikowym, mokrym Shamianie.





# W POSZUKIWANIU DETALI

Dominika Zaręba





FOT. DOMINIKA ZARĘBA

*Gwatemala? Gdzie ja zamierzam tulać się z dzieckiem?...Może rzeczywiście to nie był najlepszy pomysł? – wątpliwości dręczą mnie do ostatniego dnia wyjazdu. Mała Jagódka licząca sobie niecałe dwa lata pomaga mi pakować zabawki do plecaka, nie domyślając się, gdzie będziemy za 24 godziny. Zmartwienia opuszczają mnie, gdy tylko docieramy nad jezioro Atitlán.*



**S**pokój tego zakątka udziela nam się od razu. Wiem, że będziemy szczęśliwe przez kilka tygodni naszej podróży przez Ziemię Majów. Jest to podróż dwuwymiarowa, oczami matki i córki. Obie „z zapałem i zachwytem dziecka poznajemy nowe światy”, tak jak bohater „Podróży z Herodotem” Ryszarda Kapuścińskiego. Małe dziecko potrafi patrzeć i przeżywać otaczający świat w entuzjastyczny i oryginalny sposób. Uczy mnie dostrzegać szczegóły, detale, które często są już niezauważalne albo pozornie nie mają znaczenia dla dorosłej osoby. Ptak buszujący w gałęziach drzew kawowych, rudy kot polujący wśród zielonych pól kukurydzy, dzieci puszczające kolo-

rowe latawce na schodach białego kolonialnego kościoła... Podążając za wzrokiem dziecka zaczynam zdawać sobie sprawę, że magia Gwatemali ukryta jest właśnie w tych detalach i kolorach.

Czytanie symboliki Ziemi Majów zaczyna się od małego wzoru tkanego na tradycyjnej spódnicy Indianki (corte) albo pasie (faja). – *Kolor i wzory bluzki symbolizują cztery kolory kukurydzy – biały, żółty, czerwony i czarny* – opowiada Cecilia z wioski San Pedro la Laguna. – *Ale to nie jedyne znaczenie kolorów. Biały symbolizuje także słońce, czerwony – ogień, niebieski – wodę, zielony – lasy, czarny – noc, żółty – kukurydzę* – wymienia.

Każdy kształt i kolor ma tu swoją symbolikę, której znaczenia można doszukać się w świętej księdze Majów – Popol Vuh. Magicznej epopei, która od wieków wyznacza rytm życia i kalendarz Indian.

## JEZIORO-MORZE

*... za sprawą Stwórcy, Twórcy,  
matki-ojca życia gatunku ludzkiego,  
dawcy oddechu, dawcy serca,  
posiadacza, wychowawcy w świetle, które trwa,  
tych zrodzonych w świetle, splodzonych w świetle;  
zatroskanego, wiedzącego wszystko, cokolwiek to jest:  
nieba-ziemi, jeziora-morza.*

(tłum. Izabela Szybińska)

Tak o stworzeniu świata opowiada Popol Vuh – opowieść o początkach życia, kiedy to z ciemności rodzi się światło. Jezioro Atitlán jest dla Majów jednym z czterech świętych jezior, które wyznaczają cztery strony ich świata. Położone na wysokości 1560 m n.p.m. i otoczone wulkanami sięgającymi ponad 3000 m, jest także uznawane za jedno z najpiękniejszych jezior świata. Magia tego miejsca związana jest z wybuchową mieszkanką krajoznanstwa, przyrody i dziedzictwa kulturowego potomków Majów. Według jednej z kilku miejscowych opowieści jezioro powstało w zagłębieniu dawnego krateru. Inna wersja przyjmuje, że wybuch kilku wulkanów po stronie południowej spowodował zmianę biegu trzech rzek na północy, które dały początek jezioru Atitlán.

Na zboczach wulkanów Indianie uprawiają kawę, kukurydzę, fasolę i awokado. „*Ludzie z Kwitnącego Kraju*” mieszkają u stóp wulkanu „*odstąpionego w magicznych oparach jeziora*”. Tak o miejscowych Indianach pisze w jednej ze swoich legend Miguel Ángel Asturias, gwatemalski laureat literackiej nagrody Nobla, latynoamerykański surrealist. Myślę



FOT. SHUTTERSTOCK

## ZIARNKO DO ZIARNKA

Według świętej księgi Majów, człowiek powstał z ziaren białej i żółtej kukurydzy.

sobie, że w takim miejscu mogła powstać niejedna opowieść z gatunku realizmu magicznego. Opowieść – sen – poemat tak charakterystyczna dla literatury latynoamerykańskiej, historia odwołująca się do mitologii, wierzeń i symboliki rdzennych mieszkańców Ameryki Łacińskiej.

## KOLORY INDIAN

Wsie otaczające jezioro zamieszkują dwie grupy Indian – Kaqchikel i Tzutujil, każda porozumiewa się w swoim własnym języku (wywodzą się ze wspólnego języka protomaya), ubiera w stroje o różnych kolorach i ornamentach. Nawet wioski zamieszkane przez Indian z tej samej grupy etnicznej faworyzują inne kolory i wzory. Indianki Tzutujil z San Pedro upodobały sobie różne odcienie zieleni i błękitu. W pobliskim pueblo Santiago w dzień targowy ulice mienią się we wszystkich możliwych odcieniach fioleto i amarantu. Kupuję Jagodzie strój z San Pedro la Laguna. Teraz wszyscy wołają na nią „Sanpedranita”.

– *Błękitnooka ślicznotka* – przyznają wszystkie miejscowe mamy, gdyż widok dziecka o niebieskich oczach należy tu do rzadkości. Indianki robią nam zdjęcia aparatami w telefonach komórkowych. Jesteśmy dla siebie nawzajem egzotyczne. Ja zachwygam się ich śniadą cerą, pięknymi ciemnymi oczami i prostymi kruczoczarnymi, gęstymi włosami, w które od święta wplatają kolorowe opaski zwane cinta.

Ponad połowa mieszkańców Gwatemali to Indianie. Pod tym względem w Ameryce Ła-

cińskiej tylko Boliwia wyprzedza Gwatemalę. W tym górzystym, zielonym kraju mieszka ponad 20 różnych grup etnicznych o egzotycznych nazwach – Quiche, Mam, Kaqchikel, Queqchi, Tzutujil... Wszyscy Indianie są dwujęzyczni, w domu czy na ulicy mówią w języku Majów, ale bardzo płynnie przechodzą nagle ni stąd ni zowąd na hiszpański, wyuczony w szkole. „Nie zdają sobie sprawy jakimi są szczęściarzami – tylu rodziców marzy o tym, żeby ich dzieci mówiły w dwóch językach!” – myślę sobie i spoglądam na Jagodę. Razem z Marie liczy banany w koszyku, które Cecylia przywiozła rano z targu. – *Ocho, nueve y...* – wylicza Marie. – *Diez!* – woła mała Sanpedranita.

## WSZYSTKIE DZIECI NASZE SĄ

**Dla nich różnice kulturowe nie mają jeszcze znaczenia, a i w zabawie znajdują wspólny język.**

## MAŁA KAWA DLA NIEMOWLAKA

Dla mnie Atitlán to także kraina drzew. Sady kawowców porastają strome brzegi jeziora i zbocza wulkanów. Łagodny aromat kawy wkrada się do każdego zakamarka ulic i ogrodów. Szkoda, że nie można zapamiętać, zapisać tego zapachu zia-

ren dojrzewających w podrotnikowym słońcu na wulkanicznej ziemi. – *Czy dajesz już Jagodzie kawę?* – pytają mnie właścicielki małej kawiarni nad brzegiem jeziora. Tutaj w San Pedro dzieciom od szóstego miesiąca podaje się do picia kawę zmieszaną z mlekiem. – *Kawa to dla nas podstarwoy, codzienny napój, daje energię i wzmacnia* – śmieje się Juana i pakuje ziarna kawy do wzorzystego woreczka z ręcznie tkanego materiału. Takie upominki sprzedaje się tu turystom.

Wulkaniczna gleba, deszcze tropikalne, wilgotność powietrza, wysokość i temperatura są tu tak zróżnicowane, że w Gwatemali produkuje się siedem różnych rodzajów kawy z gatunku arabika. Atitlán jest jednym z najważniejszych regionów produkcji kawy. Podobno najlepsza uprawiana jest na wysokościach powyżej tysiąca metrów n.p.m., gdzie sporo jest słońca i deszczu. – *Aż 95 procent naszej kawy pochodzi z niewielkich, 12 hektarowych plantacji* – opowiada mi Salvin pracujący w szkole hiszpańskiego. Jego rodzina ma jedną z takich plantacji w San Pedro. – *Moi rodzice, tak jak ich*



FOT. DOMINIKA ZARĘBA

FOT. DOMINIKA ZARĘBA

*dziadkowie uprawiają kawę tradycyjnymi metodami, bez wykorzystywania nawozów sztucznych. Ziarna suszą na słońcu, którego u nas nie brakuje – uśmiecha się pochłaniając kolejny łyk porannej kawy. Ile filiżanek można wypić dziennie? Mieszkając w San Pedro przekonuję się, że pięć, sześć to tutejsza norma. Można się uzależnić, ale Indianie parzą kawę bardzo słabą, delikatną – pocieszam się spoglądając na wielki dzbanek, który niesie do szkoły Manuela. Spoglądam na rosnące w ogrodzie drzewo kawowe i wczytuję się w „Legendy gwatemalskie” Asturiasa: Tchnienie drzew oddala góry, gdzie droga fałduje jak pasmo dymu.*

## GDZIE DUCH OPIEKUŃCZY MA POSTAĆ ZWIERZĘCĄ

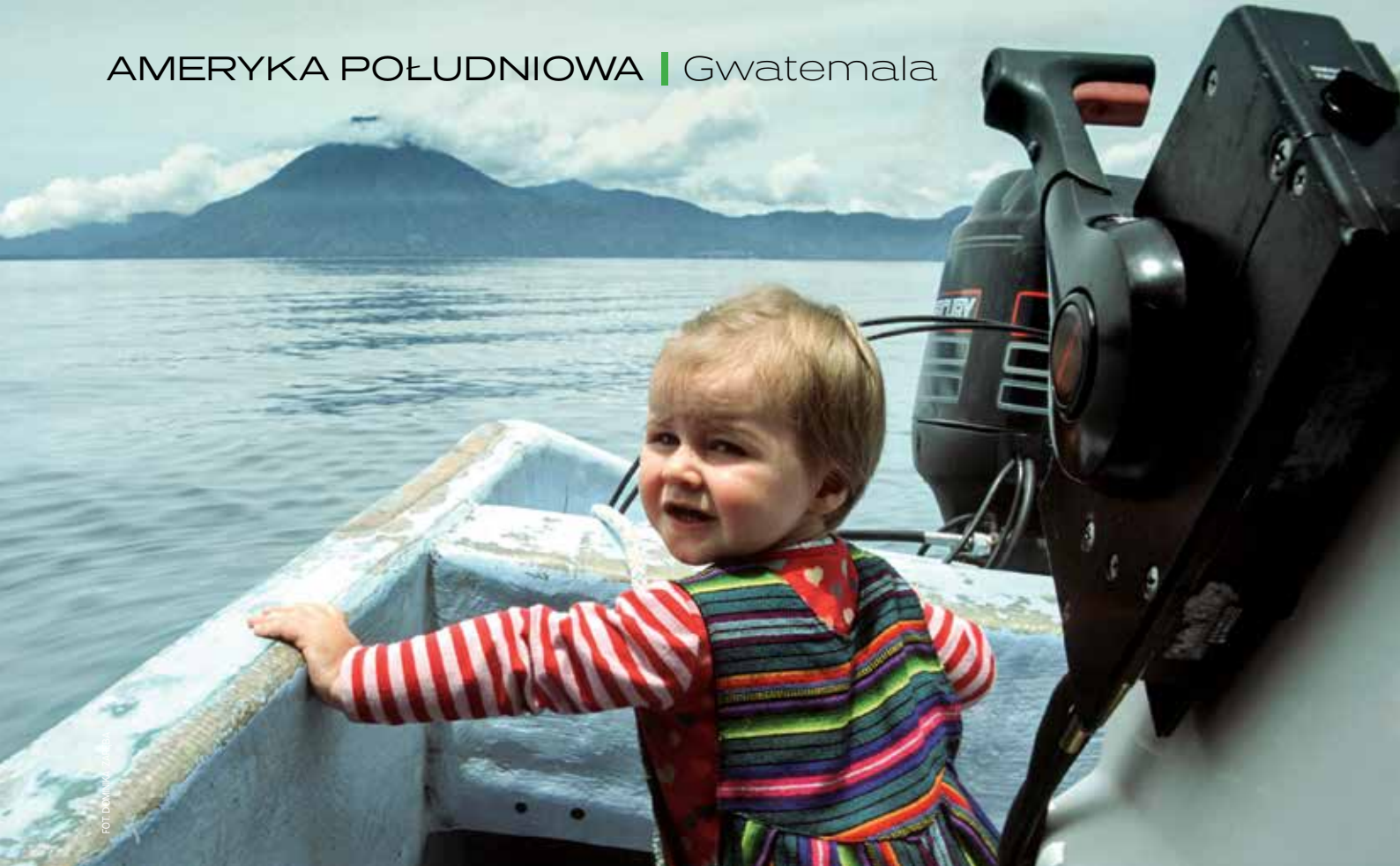
Piękna kraina snuje także wiele swoich smutnych opowieści. Dumni Indianie nie chcą opowiadać o niedawnych czasach wojny domowej, poniżania ze strony rządzącej przez 36 lat junty wojskowej i pustoszących wioski szwadronach śmierci. Od



### AMERYKAŃSKA ARABIKA

Gwatemala to kraina kawą pachnąca.  
Produkuje się tu aż siedem gatunków arabiki.





**AHOJ!**  
**TAM NA DZIOBIE**  
 Przy sterach  
 kapitan Jagódka.

czasów pierwszych wolnych wyborów prezydenckich w 1995 roku w Gwatemali bardzo powoli rodzi się demokracja, kraj próbuje podnieść się z okresu zapaści i przemocy.

– *Problemem są wielkie różnice społeczne pomiędzy garstką bogatych rodzin, potomków hiszpańskich konkwistadorów Ladinów rządzących gospodarką, a biedną indiańską prowincją* – opowiada Nicolas Juarez Mendoza, nauczyciel hiszpańskiego i salisy, Indianin Tzutujil. – *W Gwatemali wciąż panuje korupcja na szczytach władzy, przestępczość, trwają wojny mafii i przemyt narkotyków* – wylicza Nico. Czasem trudno zrozumieć, dlaczego po tak wielu latach cierpienia i poniżania, miejscowi ludzie dalej głosują na byłych wojskowych albo polityków powiązanych z dawnymi oprawcami. Indianie potrafią popierać na przykład ludzi z otoczenia dawnego generała Rios’a Montt’a, odpowiedzialnego za największe zbrodnie wojenne, tortury i „zniknięcia” tysięcy Gwatemalczyków, głównie potomków Majów...

Rozmawiamy z Nico o polityce, literaturze latinoamerykańskiej i wierze w magię. – *Czy wiesz, że każdy Indianin ma swojego ducha opiekuńczego, zwanego nahual* – opowiada Nico.

Nahual, który przybiera zawsze postać zwie-

rzęcia, uosabia największy dar człowieka, talent dany mu od bogów, jest też naszą życiową energią i elementem łączącym nas z przyrodą. Nahual może przybrać np. postać jaguara, wilka, zająca, orła, sowy, papugi, kolibra, tukana, delfina, małpy, pszczoły... Nico nie chce zdradzić, jaki jest jego nahual. Chciałby kiedyś pracować jako dziennikarz radiowy. Ten dwudziestotrzyletni Indianin, oprócz języka Majów i hiszpańskiego, dobrze rozumie się po francusku i angielsku. Marzy o podróżach, zjeździł swój kraj wzdłuż i wszerz, ale nigdy jeszcze nie był za granicą.

– *Dla mnie, mieszkańca San Pedro podróże pozostaną na zawsze tylko w sferze marzeń* – wzdycha, patrząc na mapę Ameryki rozłożoną na stole. Kiedy tak mówi, powiększa się między nami ta wielka bariera, smutna różnica pomiędzy ludźmi z krajów o odmiennej sytuacji gospodarczej i społecznej, innej historii.

Opowiadam Nico o pół wieku komunizmu w Polsce, żeby trochę zmniejszyć tę barierę. Mam jakieś dziwne przecucie i nadzieję, że tacy ludzie jak Nico, mała Marielena albo Manuela pewnego dnia ruszą w świat gnani żądzą poznania i odkrywania. Tak jak Herodot z zapałem i zachwytem dziecka poznawał swoje światy.



# Wakacje bez przykrych niespodzianek

Biegunka może przydarzyć się każdemu i wszędzie, skutecznie zmieniając nasze plany. Bywa, że dopadnie nas w trakcie dalekiej wyprawy na krańce świata, ale także podczas wizyty na przydomowej działce. Warto zapamiętać kilka zasad, które mogą ustrzec nas przed tą nieoczekiwaną niedyspozycją: myć ręce zawsze przed posiłkiem; w podróży unikać pokarmów, które nie wiemy, jak zostały przygotowane; nie pić wody z nieznanego źródła; wystrzegać się lodu w drinkach, który może być przygotowany ze zdradliwej wody (najbezpieczniejsze są napoje w firmowym opakowaniu, bez oznak wcześniejszego otwierania); myć owoce oraz obierać je ze skórki.

**Jeśli mimo wszystko biegunka nas dopadnie, warto sięgnąć po IMODIUM® Instant. To lek, którego nie powinno zabraknąć w wakacyjnej apteczce!**

- **Unikalna forma - tabletki rozpuszczające się na języku w ciągu 2-3 sekund**
- **Idealny w podróży - nie wymaga popijania**
- **Skraca czas trwania biegunki**
- **Ma przyjemny miętowy smak i formę przyjazną dla dzieci powyżej 6 roku życia**



**IMODIUM® Instant szybko pozwoli Ci z powrotem cieszyć się urlopem**



Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

Imodium® Instant, jedna tabletki (liofilizat doustny) zawiera 2 mg loperamidu chlorowodoru. Wskazania: W objawowym leczeniu ostrej i przewlekłej biegunki. U pacjentów z wytworzoną przetoką jelita krętego produkt Imodium Instant może być stosowany w celu zmniejszenia liczby i objętości stolców oraz zwiększenia ich konsystencji. Przeciwwskazania: dzieci poniżej 6 roku życia, nadwrażliwość na substancję czynną lub którąkolwiek substancję pomocniczą. Nie należy stosować jako leczenia zasadniczego u pacjentów: z ostrą czerwonką; z ostrym rzutem wrzodziejącego zapalenia jelit; z bakteryjnym zapaleniem jelita cienkiego i okrężnicy spowodowanym chorobotwórczymi bakteriami z rodzaju Salmonella, Shigella i Campylobacter; z rzekomobłoniastym zapaleniem jelit, związanym z podawaniem antybiotyków o szerokim zakresie działania. Podmiot odpowiedzialny: McNeil Products Limited.

# SPOKÓJ I POSTĘP POD FALISTĄ BLACHĄ

Dariusz Rosiak





FOT. DARIUSZ ROSIAK



**W**Afryce każdy ma taką dziurę na jaką zasługuje. Legendarną dziurę na drodze do Onitshy opisał w „Hebanie” Ryszard Kapuściński – wokół niej powstały centrum biznesu i życia towarzyskiego, hotel i nowe miejsca pracy. Moja dotychczas najgłębsza dziura afrykańska jest znacznie skromniejsza, znajduje się w stolicy Mali Bamako i jest nią rynsztok. W Bamako rynsztoki mają po dwa metry głębokości, na ich dnie zalega lepka breja złożona ze śmieci, brudnej wody, ludzich i zwierzęcych odchodów, naniesiona tam przez lata. W coś takiego wpadłem w styczniu ubiegłego

### PRZEWODNIK W CHMURACH

Muhabura to położony na granicy Rwandy i Ugandy wygasły wulkan (4127 m). Można go zdobyć w ciągu jednodniowej wędrówki i opłaceniu 75 dolarów. Ze szczytu widać (to już za darmo) pięć innych wulkanów. W lokalnym języku Muhabura znaczy przewodnik.

roku, po meczu reprezentacji Mali i Angoli w Mistrzostwach Afryki rozgrywanych wtedy właśnie w Angoli. Do 79 minuty Mali przegrywało 0:4, po czym strzeliło 4 bramki. Obejrzałem ten niezwykle mecz w telewizji w towarzystwie miejscowych, potem wyszedłem na ulicę, żeby sfotografować radość kibiców. Sam tak się rozentuzjazmowałem, że wpadłem do rynsztoka i porządnie się poobijałem. Na szczęście jakimś cudem nie zniszczyłem aparatu. Niestety mojej wpadce brak było wymiaru dramatycznego – nikt się nie zatrzymywał, nie rozstawiał straganów ani nie toczył wokół mnie polemik na interesujące tematy. Co najwyższej, gdy próbowałem niezdarnie wygramolić się na powierzchnię, kilku chłopaków rechotało z „białasa”: przecież każdy głupi wie, że przy ulicy są rynsztoki, nikt normalny w nie nie wpada, nawet w nocy.

O tej właśnie malijskiej dziurze myślałem, gdy razem z miejscowym proboszczem, polskim księdzem pallotynem KM, brnęliśmy jego spracowanym dwudziestoletnim landrowerem przez wulkaniczne okolice Kinoni na północy Rwandy. Piszę „brnęliśmy” z braku lepszego słowa. Nie wiem jak nazywa się ruch samochodu po zaschniętej lawie, „hip hop”, albo „hard rock” to nie byłyby najgorsze określenia. W każdym razie cieszyłem się, że śniadanie było dawno i lekkie.

Myślałem o dziurze, bo tylko kwestią czasu było kiedy w którąś wpadniemy. Skały piętrzyły się wokół nas, KM opowiadał mi lekko znudzonym głosem o okolicy, a ja się trząsałem.

Nad nami górował Muhabura („Ten, który wskazuje drogę”), największy tutejszy dawca życia, wysoki na ponad 4 tys. metrów, widoczny przy dobrym świetle z większości obszaru Rwandy wulkan. Ostatni raz wybuchł około 30 tys. lat temu i do dziś sprawia, że gleba w tym rejonie należy do najlepszych na świecie – obfite plony można zbierać trzy, cztery razy w roku. Lawa, zalegająca wszędzie w nieograniczonej ilości, jest najlepszym, całkowicie darmowym materiałem budowlanym. Na szczycie góry znajduje się jezioro z krystalicznie czystą wodą. Przez moment władze myślały nawet o tym, by przy wykorzystaniu niemieckiej technologii spróbować ściągnąć ją z Muhabury. Nie dało się jednak – nie ma na świecie takich rur, które wytrzymałyby ciśnienie wody spływającej ze szczytu, a budowa wielu zbiorników retencyjnych uznana została za nieopłacalną.

Przy tym bogactwie gleby, łagodnym klimacie i pięknie krajobrazu nic dziwnego, że żyją tu tysiące ludzi. KM obwoził mnie po szkołach rozsiągniętych po okolicy (samiych katolickich jest 17, a są jeszcze protestanckie i – tych najmniej – państwowe niewyznaniowe) i budowach, które tutaj trwają non stop. Powstają nowe domy, kościoły, sale lekcyjne, przychodnie. W każdej wsi ten sam obraz – dziesiątki, czasem setki dzieci wybiegających na spotkanie, radosnych, zadziornych, chwalebnych się swoim angielskim. Przed dwoma laty władze Rwandy zdecydowały, że nauka w tym kraju będzie odbywała się po angielsku, gdyż jest to język przyszłości. Nie bez znaczenia był też fakt, że do czasu ludobójstwa w 1994 roku w Rwandzie, poza lokalnym językiem kinyarwanda, posługiwano się francuskim. Nowe władze uznały (nie bez słuszności), że podczas ludobójstwa Francja współpracowała z ówczesnym reżimem, a potem umożliwiła ucieczkę z kraju wielu osobom podejrzany o udział w zbrodniach. Rwanda odseparowała się od Pary-



FOT. DARIUSZ ROSIAK

### UCZNIOWSKA POWAGA

Szkoły są miejscem, gdzie trudno zrobić zdjęcie uśmiechniętym dzieciakom. No, chyba że na przerwie.



FOT. DARIUSZ ROSIAK



FOT. DARIUSZ ROSIAK

### DUŻA PRZERWA

Świetny czas na małą powtórkę.



FOT. DARIUSZ ROSIAK

### NA GŁOWIE NIE TYLKO PROBLEMY

Kawałki zastygłej wulkanicznej lawy posłużą do budowy.

za, przed kilku laty została członkiem brytyjskiego Commonwealthu.

Problem w tym, że politycznej decyzji o przejściu szkół na angielski nie towarzyszył wzrost ilości nauczycieli posługujących się tym językiem. Dlatego dziś, zwłaszcza na wsi, mamy kuriozalną sytuację, w której nauczyciele nieumiejący mówić po angielsku muszą po angielsku uczyć dzieci. Jaki jest tego rezultat łatwo się domyślić – znajomość francuskiego zanika, a angielski zna jeszcze niewielu.

Jedziemy między poletkami kukurydzy, sorgo, słodkich ziemniaków, fasoli. Wokół skromne, ale zadbane gospodarstwa, niektóre domy zbudowane z lawy, inne z drewnianych palików ze ścianami wypełnionymi tekturą albo skorodowaną blachą. KM tłumaczy mi, że według postanowienia władz domy w Rwandzie nie mogą być kryte strzechą, bo wyglądają wtedy jak afrykańskie chatynki. Rwanda ma być nowoczesna, a każdy dom musi być kryty blachą. Niektórym chłopom starcza pieniędzy na budowę całego domu, inni stawiają tylko szkielet z palików, a na to zarzucają obowiązkowy blaszany dach. W praktyce całe rodziny śpią niemal pod gołym niebem. Ot, takie niedogodności związane z postępem kraju.

KM manewruje między skałami w drodze, a na poboczach, przed domami wystawione są worki z kartoflami, bo to czas drugich w tym roku wykopków. Gospodarze czekają na ciężarówkę, które wezmą worki do skupu w Ruhengeri, a nawet w Kigali. W Mugarama niedaleko miejscowej szkoły drogę blokują ciężarówkami, trzeba będzie się nagimnastykować, żeby je ominąć.

Czasem człowiek przeczuwa, co się za chwilę stanie, ja wiedziałem. Wiedziałem, że wpadniemy w dziurę, nie wiedziałem tylko w jaką i z jakim skutkiem. Właściwie nie jestem pewien, czy to, w co wpadliśmy technicznie należałoby nazwać dziurą, po prostu koło obsunęło się ze skały i samochód ugrzązł. Natychmiast zlecieli się wszyscy z okolicy, chcieli pomóc, naprawić, podeprzeć i wyciągnąć. Niektórzy dotykali samochodu, coś tam zaczęli majstrować przy lusterkach i klamkach, ale wystarczyło, by KM powiedział ostrym tonem parę słów w kinyarwanda i potencjalnym złodziejom odechciało się nawet próbować.

Kierowcy ciężarówek pomogli, miejscowi chłopcy nas wyciągnęli, potem jeszcze patrzyli i komentowali fachowo, gdy KM zmieniał koło, w które wbił się gwóźdź. Sprawa nie była prosta, bo jak ustawić lewarek na nierównych skałach? W glinę się zapada, z kamienia obsuwa, ale przy dobrych chęciach i serdecznej pomocy ludzi wszystko da

się zrobić. A potem już bezpiecznie zjechaliśmy do szosy na Ruhengeri.

Odwiedziliśmy targ w Rugarama, na którym kupiliśmy awokado. W Polsce jadałem awokado, ale to co u nas sprzedaje się pod tą nazwą jest zamrażaną przez kilka dni, a następnie kilkakrotnie odmrażaną plastikowodrewnianą wersją tego owocu. Awokado z Rugarama w kilku odmianach, każda nieco innej barwy i kształtu, miały konsystencję masła i były w smaku słodko-gorzkie.

Czekała nas przejażdżka po jeziorze Burera. Poszliśmy na przystań, gdzie czekały łodzie i przewoźnicy. Zgłosił się jeden z nich, porządnie wyglądający, z kapokami w ręku. Jego łódka miała suche dno, co wywołało we mnie uczucie spokoju i pewności, zwłaszcza gdy spojrzałem na ogromne jezioro. Twierdzono, że ma co najmniej 450 metrów głębokości, ale echosonda wypuszczona niedawno przez naukowców doszła do 600 metrów. Na jeziorze jest pięć wysp, na niektórych mieszkają ludzie i właśnie na taką o nazwie Birwa II mieliśmy płynąć. Dobrze byłoby, gdyby łódź nie przeciekała – pomyślałem zakładając kapok.

– *Zdejmuj ten kapok* – powiedział KM. – *Ten facet chce nas orznąć. Mam tu kogoś innego.*

Poszliśmy do innej zatoczki. Okazało się, że ten ktoś inny, to były parafianin ksiądz KM. Ledwo trzymał się na nogach, non stop coś bełkotał, żartował z księdzem. Właśnie wracał z targu, gdzie my kupiliśmy awokado, a on cały dzień pił piwo. W jego łodzi nie było kapoków, za to siedziała już siódemka mieszkańców Birwa II. Na dnie łodzi było, tak na oko, jakieś dwa centymetry wody, jeden z pasażerów już wziął się za wylewanie jej wiaderkiem. Mieliśmy tym czymś popłynąć do ich domu, jakieś 45 minut przy dobrym wiosłowaniu.

– *Ta łódź chyba jest dziurawa* – powiedziałem do KM tak przy okazji. Nie chciałem, żeby pomyślał, że się boję.

– *I kapoków nie ma, może jednak popłyniemy z tamtym pierwszym?*

– *Nie, nie jest dziurawa, oni codziennie jej używają.*

### TARG W RUGARAMA Brakuje tylko mrożonek.



FOT. DARIUSZ ROSIAK



FOT. DARIUSZ ROSIAK



FOT. DARIUSZ ROSIAK

**SEE YOU LATER!  
A BIENTOT!**

Za kilka lat też coś napiszemy.



FOT. DARIUSZ ROSIAK

### **PRZYSTAŃ NAD JEZIOREM BURERA**

**Obowiązują tu ceny  
i zachowania  
wolnorynkowe.**



FOT. DARIUSZ ROSIAK

### **WSPÓLPASAŻEROWIE**

**...i twórcy pieśni  
o wystraszonym  
dziennikarzu, który bał  
się, że utonie  
w dziurawej łodzi.**

Wyruszyliśmy, ja trzymałem się kurczowo burt, KM opowiadał mi o jeziorze i wyspach. Jedną z nich kupili właśnie Włosi, zamierzają zbudować tam hotel i ośrodek turystyczny.

Rozmawialiśmy sobie z KM, co chwila włączał się jego pijany w trupa parafianin nie mogąc się nadziwić, że ksiądz proboszcz tak dobrze mówi po chińsku (rozmawialiśmy po polsku oczywiście), współpasażerowie śmiali się z niego i dowcipkowali, ogólnie było bardzo miło. Przyglądałem się jak poziom wody na dnie łodzi wolno, ale regularnie podnosi się.

– *Zauważyłeś, że poziom wody w tej łodzi wolno, ale regularnie podnosi się?* – spytałem KM.

– *Nic się nie martw, wyleją to* – zapewnił mnie ksiądz. Rzeczywiście jeden z pasażerów ciągle wylewał wodę kubeczkami. Gdyby tego nie robił pewnie bylibyśmy już na dnie.

– *Tu można się kąpać?* – spytałem

– *Nie zalecałbym. Bilarioza tu jest.*

– *???*

– *Chyba tak to się nazywa. Pasożyty, wchodzą przez przewód moczowy i od środka niszczą organizm. Ale to podobno nie jest śmiertelne.*





Wyjąłem rękę z wody i zacząłem się zastanawiać, czy pasożyty już zdążyły się we mnie zagnieździć i czy jeszcze mam szansę chociaż raz w życiu normalnie się wysuszyć.

– Ale nie musisz się tak przejmować – mówił KM. – Jak się przez moment pochłapiesz, to nic się nie stanie. Gorzej jakbyś musiał dostać się w pław do brzegu.

Nie musieliśmy. Łódź spokojnie dotarła do wyspy, tam spotkaliśmy kolejnych parafian KM, opowiadali mi o życiu na wyspie, o tym jak codziennie płyną na ląd, by wynająć się do pracy w polu albo na budowie. Na Birwa II żyje 310 osób, jest szkoła i przydomowe polećka, nie ma światła ani bieżącej wody. Aby zarobić ludzie muszą codziennie płynąć do miasta.

Potem wróciliśmy na stały ląd. W drodze powrotnej towarzyszyło nam już tylko kilku wyspiarzy. Wiosłowali zawzięcie, żeby zdążyć przed zachodem słońca i śpiewali przy tym na moją cześć: *Dzisiaj naszą wyspę odwiedził nasz ksiądz i taki jeden biały. Bał się, że nasza łódka jest dziurawa i utoniemy, to było nawet śmieszne, rozmarwił z nami, podziwiał naszą szkołę i nasze polećka, chyba mu się podobały, teraz musimy się spieszyć, żeby dowieźć go na ląd przed zachodem słońca. Może kiedyś do nas wróci.* ○



## MAPY

turystyczne  
samochodowe  
rowerowe  
wodoodporne  
PLANY MIAST

## PRZEWODNIKI

- do internetu
- na zlecenie
- na tablice
- do druku







Przemysław Kozłowski

# TU SIĘ ŚPIEWA PO POLSKU



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

Jest ich trzy i pół tysiąca. Przynajmniej według ostatniego spisu powszechnego z 2002 r. Ale Związek Polaków w Rumunii potraja tę liczbę. Żyją głównie na Bukowinie, w województwie suczawskim. Zachowali język i obyczaje przodków. W dużych miastach, jak Bukareszt, Jassy i Konstanca, większość już się zaasymilowała.



**W** 1992 roku siedzibę reaktywowanej dwa lata wcześniej organizacji Polaków „Dom Polski” przeniesiono ze stolicy do Suczawy, do historycznego budynku zbudowanego dzięki składkom suczawskiej Polonii w 1907 roku.

W kuchni „Dому Polskiego” szykują śniadanie dwie nauczycielki języka polskiego, oddelegowane z Polski do pracy w bukowińskich szkołach.

– *Ja to zawsze mówię to, co myślę – zagaja Bogusława Dydula – i uważam, że dzieci mają tu o wiele lepiej niż w Polsce. Pojedźcie do norwej szkoły w Pojanie Mikuli, którą wybudował polski senat, to zobaczycie w jakich komfortowych warunkach się tam uczą. A nie chcą się uczyć! – narzeka pochodząca z Bieszczad nauczycielka. – W wiejskich szkołach jest*

## ARTYSTYCZNY DUCH W TYM NARODZIE

We wsi Plesza mieszkają sami Polacy. Artyści Bolkowi Mejerikowi marzy się, że będzie to wieś rzeźbiarzy.



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

ogólnie niski poziom nauczania – potwierdza Danuta Wiczorkowska ucząca w mieście Gura Humorului – ale teraz dużo ludzi odwiedza rodziny w Polsce i bardzo ładnie mówi po polsku.

Na kawę i papierosa zjawia się w kuchni Stanisława Jakimowska, prezes Stowarzyszenia Polaków w Suczawie i redaktor naczelna miesięcznika „Polonus”. Niezwykle ciepła osoba i bardzo elegancka dama. Chwilę później wpada Kazimierz Longier – wiceprezes Związku Polaków w Rumunii. Chce nas umówić na spotkanie z Bolkiem Majerikiem, rzeźbiarzem ludowym ze wsi Plesza. Dzwoni do niego i po chwili wesoło rozmawia po rumuńsku. – Łatwiej się nam dogadać po rumuńsku – tłumaczy prezes – bo ja ani jednej godziny polskiego nie miałem w szkole. Znam język tylko z rodzinnego domu, gdzie się gwarowało po góralsku, więc jak poszedłem do pierwszej klasy, to w ogóle po rumuńsku nie mówiłem i miałem duże kłopoty. Longier urodził się we wsi Nowy Sołonec i jak większość tutejszych Polaków, pochodzi od górali czadeckich. Przybyli na początku XIX wieku z regionu dziś należącego do Słowacji, przy granicy z Polską i Czechami. Przyjechali do pracy w lesie i przy hodowli zwierząt.

– Na szczęście już teraz szkolnictwo sprzyja zachowaniu ojczystej mowy – mówi pani Stanisława. Od 1991 roku przyjeżdżają polscy nauczyciele, miejscowi jeżdżą się kształcić do Polski, a lekcje



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

## SKAZA JEDNAK ZDOBI CZŁOWIEKA

W Nowym Sokołcu co raz rzadziej spotkać już można młodego górala w tradycyjnym stroju.

## BY MOGŁO LAĆ JAK Z CEBRA

Stanisław Moldowan, jeden z ostatnich bednarzy ze wsi Plesza, dokładnie brakującą kłepkę do robionego przez siebie cebra.



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

ojczystego języka są obowiązkowe dla dzieci pochodzenia polskiego. Okazuje się to i zaletą, i problemem. Przy niskim poziomie nauczania podstawowego na wsi prowadzi to do niewystarczającej na dalszą edukację znajomości języka rumuńskiego. Dlatego dziś najważniejszym celem Związku Polaków w Rumunii jest pogodzenie tradycji (zachowanie języka i obyczajów) z poprawą trudnych warunków życia i wykształceniem warstwy inteligencji. No i żeby tę inteligencję zatrzymać na miejscu. Bo zawsze było tak, że jak się nadarzyła możliwość powrotu do Polski, wyjeżdżali w pierwszym rzędzie ci najlepiej wykształceni.

## CO ONI TU RZEŹBIĄ?

– *A ty co tak na mnie patrzysz jak mokry kot? Nie przejmuj się już tym złamanym dłutem, tylko rób swoje.* Na polance za domem Majerików, Bolek uczy rzeźbić w drewnie dziesięcioletnich Gabriela i Józefa. Wyrysował im w grubych balach ołówkiem smoki, wręczył dłuta i młotki i chłopcy stukają w kłocze jak dziecięcy. – *Pokaż Gabi. O, zamiast dragona wyszedł piesek – żartuje Bolek. – Marzy mi się, żeby we wsi była szkoła rzeźby i z każdej wioski mogli chłopcy przyjechać.* Tymczasem w zamieszkałej niemal w 100 procentach przez Polaków wiosce nie ma nawet „Domu Polskiego”.

Do pracowni przychodzi dwaj kolejni chłopcy. Siedzą w rzędzie i dłubią; króla, Boga i anioła. – W nich jest wewnętrzny zapał. Raz matka jednego z chłopaków zapytała mnie: *Bolek co tam z nimi robisz? Bo ze szkoły taki przyjdzie, rzuci teczkę i już leci do ciebie!* Ale z rzeźby pieniędzy nie ma, więc czterdziestoletni Bolek Majerik pomaga ojcu przy węglu drzewnym, a matce przy krowach. I pisze wiersze, gdy jest zakochany. Czasem ktoś rzeźbę kupi albo zamówi. – *Z tego klocka miał być wędkarz dla sąsiada co lubi towić ryby, ale może będzie co innego. Trzeba słuchać materiału, czasem ci podyktuje więcej niż myślałeś – udziela rady małym „skulptorom”.* We wsi nie ma pracy, wielu ludzi całymi rodzinami wyjechało za nią w świat.

Siostra Bolka od lat pracuje w Grecji i pomaga finansowo rodzinie. On sam by się jednak stąd nie wyprowadził. Cztery lata spędził w Poznaniu na stypendium w Akademii Sztuk Pięknych, i wie, że żyć może tylko na Bukowinie. Choć dziadek nawet na podwórku kazał mówić tylko po polsku, Bolek czuje się i Polakiem i Rumunem. Jego ojczyzna jest w Pleszy, nad którą góruje „jastrzębia skała”. Tam w wieku 17 lat wykuł swoją pierwszą rzeźbę, twarz Chrystusa. – *Dawniej Plesza to była wieś bed-*

narzy, ale teraz już ich tylko kilku zostało. Może kiedyś będzie wieś rzeźbiarzy.

W szopie stoją na ziemi grube, świerkowe pniaki, które Stanisław Moldovan zgrabnie łupie siekierą na ćwiartki, a te potem tnie toporkiem na deszczułki. Na ścianie wiszą świdy, dłuta, strugi i metalowe obręcze. Leżą deski, stoją niewykończone drewniane naczynia – maselnica i beczka na kapustę. – *Taką dużą to się jeden dzień robi* – objaśnia jeden z ostatnich bednarzy w Pleszy. – *Za komuny to się dużo beczek robiło, i w dzień i w nocy, a teraz... weszły plastiki. Jeszcze na wino to tak, tyle że Rumuni teraz pieniędzy nie mają.*

Stanisław zna fach od ojca, ale swojemu synowi go nie przekazuje. Nie da się z tego wyżyć. Dorabia więc przy wyrębie lasu, z żoną Jadzią prowadzą gospodarstwo i jeżdżą do pracy na Zachód. – *Cztery roku siedzieliśmy w Spanii, on na budowie z Polakami, a ja po chatupach sprzątałam. Ale i tam przyszła „kriza”* – mówi Jadzia zaparzając mocną kawę na kaflowym piecu z fajerkami. Teraz co roku na kilka letnich miesięcy jeżdżą do Szwecji, do pracy w lasach. Jadzia je sadi, a Stanisław ścina. – *Tylko to wimy* – mówi cicho potomek górali czadeckich, którzy przyjechali na Bukowinę dwieście lat temu do takiej samej pracy.

## PREZYDENT W SŁAWOJCE

Ostoją polskości na Bukowinie był zawsze Kościół. Tworzył tożsamość Polaków. – *Polak to katolik* – mówi prezes Jakimowska. – *Nawet jak jest małżeństwo mieszane, to współmałżonek przechodzi na katolicyzm. Może dlatego, że u nas msza trwa godzinę,*

*a w prawosławiu cztery* – dodaje ze śmiechem. Według niej polskość na wioskach przetrwała dzięki religii, rodzinie i izolacji, przez którą tradycje ludowe zachowały się w prawie niezmienionej formie.

Kaczyka to wieś nietypowa. Przodkowie jej mieszkańców przyjechali z Bochni w 1792 roku do pracy w tutejszej kopalni soli, a ich potomkowie w zdecydowanej większości ulegli rumunizacji. Prawdziwą opoką polskości we wsi jest rodzina Cehaniuc. Krystyna prezesuje lokalnemu Stowarzyszeniu Polaków, a jej mąż Michał prowadzi księgę pamiątkową Domu Polskiego. Po wpisy znanych Polaków jeździł z nią nieraz do Bukaresztu. Aleksander Kwaśniewski, jedyny Prezydent III RP, który odwiedził Bukowinę, wpisał się na miejscu. Zostawił po sobie dobre wspomnienia i zabawne historie. W Nowym Sokołcu było takie błoto, że załatwił budowę betonowej drogi, zwaną teraz Aleksander Sztrasa. A jak musiał do toalety, to nie bał się iść do wychodka. Śmiesznie wyglądali dwaj wielcy ochroniarze pod sławojką.

Syn Cehaniuków prowadził stronę internetową Kaczyki, ale wyemigrował dwa tygodnie temu do Londynu. Rodzin, które kultywują polskie tradycje zostało we wsi tylko pięć. W kopalni pracowali obok Polaków Rumuni i ludzie innych nacji (na Bukowinie żyje jedenaście mniejszości narodowych), więc rodziny się wymieszały. Tu też za komuny, bardziej niż w pozostałych wsiach, władza przykładała się do tępienia mowy ojczyściej i wiary. – *Bardzo to przeżyłam, że jako nauczycielka nie mogłam chodzić do kościoła. Musiałam się z tym ukrywać i bocznymi drogami przemykałam* – wspomina pani

## POLSKA MODLITWA

Czy będzie komu przekazać wysłużony modlitewnik?



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI



FOT. PRZEWIŚLAW KOZŁOWSKI

Krystyna, która teraz z mężem śpiewa w kościelnym chórze. – *Jak po nas będzie z polsnością w Karczycy, nie wiem. Ale dobrze nie będzie* – martwi się prezes Cehaniuc.

## POLSKA JEST ATRAKCYJNA

W pozostałych wsiach duch polski poinien przetrwać, uważa prezes Stowarzyszenia Polaków Stanisława Jakimowskia. W przeciwieństwie do dużych miast, gdzie w Domach Polskich zbierają się tylko starsze osoby, w małych społecznościach łatwiej jest zmobilizować do wspólnego działania młode pokolenie, a to od niego zależy przyszłość.

W poniedziałkowy ranek na lekcji polskiego w szkole im. Krystyny Bochenek w Pojanie Mikuli siedzą prawie sami chłopcy. Nauczycielka Alina Wołościuk prowadzi zajęcia jednocześnie

dla drugiej i czwartej klasy. Drugoklasiści czytają „Sprytnego lisa”, a czwartaki „Ptasie radio”. Pani Wołościuk dziś zwolniła dziewczynki z lekcji. – *Jest taki obyczaj, że dziewczyny chodzą „po moiczku z kociankami” – odwiedzają polskie domy, śpiewają pieśń o męce Chrystusa i za to dostają datki*. Dziesięcioletnia Krzysia i dwa lata młodsza Tereska obeszły swój rewir. Dziewczynki są zadowolone. W sumie zebrało się ze czterdzieści jajek i całkiem sporo gotówki. – *Ale dwa jajka się potrypały* – przyznaje się Tereska.

Osiemnastoletnia Daniela Revai z Nowego Sołońca śpiewa w zespole „Sołończanka”. – *W tym roku obchodzimy dwudziestolecie zespołu, więc chcemy to szczególnie uczcić* – mówi opiekunka zespołu Anna Zielonka. Zanim założyła „Sołończankę”, chodziła od wsi do wsi i zbierała od najstarszych





kobiet czadeckie pieśni i melodie. Daniela należy do najstarszych w zespole, najmłodsze dzieciaki mają po cztery lata. – *To też okazja dla dzieci, żeby podróżować. Jeździmy na koncerty i festiwale, także do Polski* – mówi opiekunka. Daniela jeszcze w kraju przodków nie była, ale ma nadzieję, że pojedzie w tym roku. W maju zdała egzaminy na studia w Polsce. Stypendia przewidziano dla dziesięciu rumuńskich Polaków, lecz w tym roku jest rekordowo dużo chętnych, siedemnaścioro. – *Niektórzy kandydaci słabo się uczą, ale chcą po prostu wyjechać do Polski* – pociesza się Daniela, która ma bardzo dobre oceny. Mniej więcej połowa studiujących w Polsce już nie wraca. – *Nie wiem, gdzie będę żyła w przyszłości. Jak jest tutaj już wiem, jak jest w Polsce, zobaczę jeśli się dostanę na studia. Ale tu mi dobrze!* ○

**NA GÓRALSKĄ NUTĘ**  
Bukowińskie dzieci poznają polską tradycję poprzez śpiew, taniec i świąteczne zwyczaje.

Podróż na Bukowinę odbyła się w celu nawiązania kontaktów z rumuńską Polonią, przeprowadzenia wywiadów i zapisów oraz zrobienia dokumentacji video i fotograficznej na potrzeby Muzeum Emigracji, którego otwarcie w Gdyni planowane jest na 2014 rok. Poznaj Świat został patronem medialnym Muzeum Emigracji.

[www.muzeumemigracji.pl](http://www.muzeumemigracji.pl)

# Na tropach malgaskiego hobbita

Grzegorz Krzyżostaniak

## WODA PÓJDZIE DOŁEM

Chaty na palach plemienia  
Betsimisaraka. Pora deszczowa  
na wschodnim wybrzeżu trwa dłużej  
niż w pozostałej części wyspy

Budzi mnie tępy odgłos młódcierza do tłuczenia ryżu. Spoglądam na zegarek – już szósta. Czas wstawać. Wygrzebuję się spod moskitiery. Zakładam ubranie, pakuję bagaże. Odczepiam moskitierę i starannie zwijam śpiwór. Rozglądam się po pomieszczeniu. Czy aby czegoś nie zapomniałem? Wydaje się, że wszystko w porządku. Od prawie dwóch tygodni jestem w buszu, na wschodnim wybrzeżu Madagaskaru. Każdego dnia nowy odcinek drogi, w górach, gdzie są jedynie ścieżki, które prowadzą mnie do wiosek zamieszkiwanych przez chrześcijan z ludu Betsimisaraka. Jestem księdzem, Misjonarzem Oblatem Maryi Niepokalanej i od niespełna trzech lat pracuję na Madagaskarze.



FOT. GRZEGORZ KRZYSZTOFIAK



FOT. GRZEGORZ KRZYŻOSTAJANAK

**ROBOTY KUCHENNE**

Kobiety ubijają ryż, z którego powstaną placki zastępujące tutaj chleb.



Otwieram drzwi chaty. Poranne słońce razi mnie w oczy. W oddali szumi rzeka Nosi- volo. Łagodne szczyty górskie odcinają się od błękitnego nieba. Pod drzwiami stoi wiaderko z wodą. Jak zwykle przemywam ręce i twarz. Jan- Ludwik, mój pomocnik wraz z miejscowym katechistą (katechista to osoba świecka zaangażowana w realizację dzieła misyjnego Kościoła, zastępuje księdza pod jego nieobecność, przewodzi niedziel- nym modlitwom, zajmuje się katechezą i przygo- towuje do przyjęcia Sakramentów) też już wstali i czekają nieopodal. Na mój widok podchodzą.

– *Dzień dobry Ojczcie!*

– *Dzień dobry!*

– *Dobrze Ojciec spał?*

– *O tak!* – Tutaj w Mahadio zawsze dobrze spiam. Chata jest czysta, łóżko wystarczająco długie i co najważniejsze, nie ma pcheł. Rozmawiamy przez chwilę. Katechista zapala papierosa.

Kobiety przynoszą w garnkach ryż. Czas na śniadanie. Przychodzą tragarze. Wiążą sznur-



FOT. GRZECEK / KRZYŻOSTANAK

kami mój bagaż i wyruszają bezpośrednio do Marolambo, gdzie znajduje się stacja misyjna wybudowana przez francuskich misjonarzy w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Nim tam dotrzemy, chcę jeszcze zobaczyć las Marohita i tamtejsze jaskinie. Po śniadaniu żegnamy się z wiernymi. Dziękują za odwiedzinę i pytają, kiedy ponownie do nich przyjdę. Pewnie za kilka miesięcy. Misji podlega terytorium o powierzchni 4500 km<sup>2</sup>, a jest nas tylko trzech pieszych księży.

– *Do widzenia Ojcze!*

– *Do widzenia!* – odpowiadam i czuję, że za chwilę się rozkleję.

## W POBLIŻU KRAINY SHIRE

Po godzinie intensywnego marszu osiągamy Vohitromby, gdzie mamy zatrzymać się w domu tutejszego katechisty. Osada jest mała – zaledwie kilka chat. Katechista o imieniu Solo wita nas gorąco i zaprasza do domu. Jego żona częstuje nas

kawą fary, posłodzoną sokiem wyciśniętym z trzciny cukrowej. Gospodarz jest bardzo zadowolony z naszych odwiedzin. To w pobliżu jego zagrody znajduje się las Marohita, gdzie podobno widziano Kalanoro – coś w rodzaju hobbita, jeśli wierzyć miejscowym. Po wypiciu kawy wyruszamy. Solo jest naszym przewodnikiem. Przechodzimy rzekę i wspinamy się, klucząc między kępami kolczastych zarośli. Ścieżka przecina ryżowiska i prowadzi nas w kierunku lasu. Po kamieniach i zwalonych pniach idziemy w górę małej rzeki Ankazobe, by po jakimś czasie zagłębić się w zielonym gąszczu.

Zdaje mi się, że coś przemknęło między krzakami – coś w kolorze brunatno-czerwonym. Czyżby Kalanoro?! Przyspieszam kroku. Chcę to dogonić. Nic jednak nie spostrzegam. To pewnie złudzenie, zmęczenie albo nadmierne pragnienie zobaczenia tajemniczego stwora. – *Uwaga Ojcze na ampe!* – Solo wskazuje na roślinę o podłużnych, grubych liściach, pokrytych jakby ziarenkami, których dotknięcie wywołuje podrażnienie skóry.

## LICZNI I NIEROZŁĄCZNI

Właśnie to oznacza nazwa *Betsimisaraka*. To najlicniejsza grupa etniczna wschodniego wybrzeża. Stanowią oni 15 procent populacji całej wyspy.



## W DRODZE DO MAROLAMBO

Na wschodnim wybrzeżu przeważają niziny, przechodzące w strome urwiska. W tej części wyspy można spotkać palme pielgrzymy i „odrosty lasów wtórnych”.

Wreszcie docieramy do ciemnozielonej ściany lasu Marohita.

– *To tutaj!* – Mówi katechista. Rozglądam się. Gdzie są te jaskinie? Wszędzie krzaki i zarośla, potężne głazy obrosnięte roślinnością. Spoglądam pytająco na Solo, który wydaje się być trochę zdezorientowany. – *Dawno tu nie byłem, proszę Ojca. Wszystko zarosło. Ale jestem pewny, że to tutaj.* Rozgląda się dookoła. Za pomocą noża antsy wycina kolczaste krzaki. Po jakimś czasie naszym

oczom ukazuje się otwór. Podchodzę bliżej, schylam się i włączam latarkę. To bez wątpienia jaskinia, ale bardzo płytka. Wnęka, która wonie zgnilizną. – *I to wszystko?!* – Pytam trochę poirytowany. – *Niech Ojciec poczeka. Rozejrzę się trochę po okolicy.* Po około dwóch kwadransach Solo wraca niosąc coś w ręku.

– *Sora, proszę Ojca!* Oglądam dokładnie zwierzaka, który bez wątpienia jest rodzajem jeża. Różni się jednak znacznie od tych, które spo-



FOT. GREGORZ KRZYŻOSTANIAK

tyka się w Polsce. Sora ma jakieś 15 cm długości, długi pyszczek i może nawet dłuższy, cienki ogon. Jest koloru czarno-żółtego. Grzbiet pokryty ma rzadkimi, żółtymi kolcami. Bolesnie kąsa, więc lepiej trzymać go za ogon. Betsimisaraka polują na sorę uważając ją za przysmak. – *Ojciec, znalazłem następną jaskinię!* – woła rozpromieniony katechista.

– *A tego jeża to udało mi się złapać przez przypadek!* – dodaje.

Druga pieczara jest tak samo mała jak pierwsza. Tutejsi ludzie nazywają je Mandritsara. Spoglądam na zegarek. Jest już za późno na poszukiwanie następnych jaskiń. – *Musimy wracać!* – oznajmiam.

– *Jeżeli są tu jeszcze inne, to zapewne takie same jak te, które zwiedziliśmy!*

Bardzo chce mi się pić, a manierka w moim plecaku jest już dawno pusta. Betsimisaraka piją wodę, która znajduje się w palmie ravinala. Dlaczego i ja nie miałbym spróbować! I tak po raz pierwszy w życiu piję wodę z ravinala. Jest smaczna, jednak płyn z centralnych partii drzewa jest już brudny i lepki i nie nadaje się do picia. Po dwóch godzinach docieramy do drogi, Marolambo już niedaleko. O godzinie czternastej zjawiamy się na misji.

## PIĘĆ SZCZEPÓW HOBBITÓW

Kalanoro, którego miałem dziecinną nadzieję zobaczyć w jaskiniach, nie dawał mi spokoju. Ciągłe o nim myślałem. Któż to taki? Może to tylko bajka – coś w rodzaju malgaskich historii o krasnoludach czy hobbitach? Ale może nie?!

Tradycyjne malgaskie przekazy dotyczące małych, czarnych albo czerwonych ludzi zwanych Kalanoro, Vazimba, Behosy, Kimosy czy Mikea przez wiele lat doprowadzały do białej gorączki niektórych eksploratorów malgaskiego buszu. Malgaszę potwierdzali, iż tacy ludzie istnieją, ale nikt inny ich w rzeczywistości nie widział. I oto w latach osiemdziesiątych zostali odnalezieni przez etnologów w pobliżu Tulearu na południu Madagaskaru.

Przeszukałem wszystkie dostępne mi materiały dotyczące pochodzenia legendarnych Kalanoro i stwierdziłem, że sprawa jest jeszcze bardziej zagadkowa, niż się z pozoru wydaje. Informacje dotyczące Kalanoro czy Vazimba są często sprzeczne i tylko wprowadzają zamęt.

Jedni uważają, że Kalanoro, Vazimba, Behosy, Kimosy czy Mikea to ten sam „rodzaj ludzi”. Różnica jest tylko w nazwach. Drudzy zaś rozdzielają Vazimba od Kalanoro, uważając pierwszych za pigmejów, czyli pierwotnych mieszkańców Madagaskaru. Kalanoro zaś – według nich – to „ni człowiek, ni zwierzę”! Cóż to stwierdzenie oznacza? Trudno powiedzieć.

Kim zatem jest Kalanoro? Malgaszę opowiadają, iż zamieszkują oni lasy i nigdy nie wchodzi do ludzkich wiosek. Nazywa się ich dzikimi. Nie znają ognia, żywią się skorupiakami, zwłaszcza krabami, które zjadają na surowo. Mieszkają w trudno dostępnych grotach lub między korzeniami wielkich drzew. Według malgaskich wierzeń



## SALAMA! CZEŚĆ!

Malgaskie dzieci ślą nam pozdrowienia.

posługują się magią. Potrafią stać się niewidzialni. Znają się też na medycynie naturalnej. Jak wyglądają? Malgaszki opisują ich w taki oto sposób: mali ludzie, o wydłużonej głowie, dużych zębach, kędzierzawych włosach i czerwonych oczach. Podobno całe ciało Kalanoro pokryte jest włosami.

Ten opis na pierwszy rzut oka pasuje do wyglądu *Australopiteka! Australopithecus* – „ni człowiek ni zwierzę”! To szalone i nieprawdopodobne! I amatorskie. Zdaję sobie z tego sprawę.

Wyszukałem jednak kilka rycin przedstawiających różne typy *Australopithecusa*: *Afarensis*, *Africanus*, *Robustus*, *Boisei*. Pokazałem je Malgaszkom, którzy podobno na własne oczy widzieli Kalanoro. Każda osoba, bez uprzedniej konsultacji z innymi, wskazała na ten sam obrazek – *Australopithecusa Afarensis*. Oczywiście to kiepski dowód. Szukałem więc dalej.

## KLATKA Z NIZIOŁKIEM

Dowiedziałem się, że w latach sześćdziesiątych na targowisku w Marolambo wystawiono Kalanoro na publiczny pokaz! Biedak został wpięty osaczony w jaskini, a następnie pochwycony. Ludzie zamknęli go w klatce i wystawili na pokaz.

Za niewielką opłatą każdy mógł go zobaczyć. Tak więc, w tamtym czasie wielu widziało go z bliska. Według opowiadań Kalanoro trząsł się ze strachu i nie przyjmował pożywienia, które mu podsuwano. Następnego dnia zmarł albo zdechł – to zależy od koncepcji, jaką przyjmujemy.

Wyciągnąłem z tego wniosek, że ciało musiano gdzieś zakopać i to zapewne niedaleko. Ale gdzie? Przeprowadziłem mały rekonesans. Kilku miejscowych potwierdziło, że rzeczywiście ciało Kalanoro zostało pochowane w pobliżu miasta albo nawet w samym Marolambo. Nikt jednak nie chciał mi wskazać dokładnie, gdzie się to miejsce znajduje. Dlaczego?

– *W mieście już chodzą plotki, że gdy Ojciec Grzegorz znajdzie kości Kalanoro, to zabierze je za granicę, tam sprzeda i zarobi masę pieniędzy!* Tak więc w tym miejscu ugrzązłem. Może Malgaszki kiedyś wskażą mi miejsce, gdzie zakopano Kalanoro. A może nie.

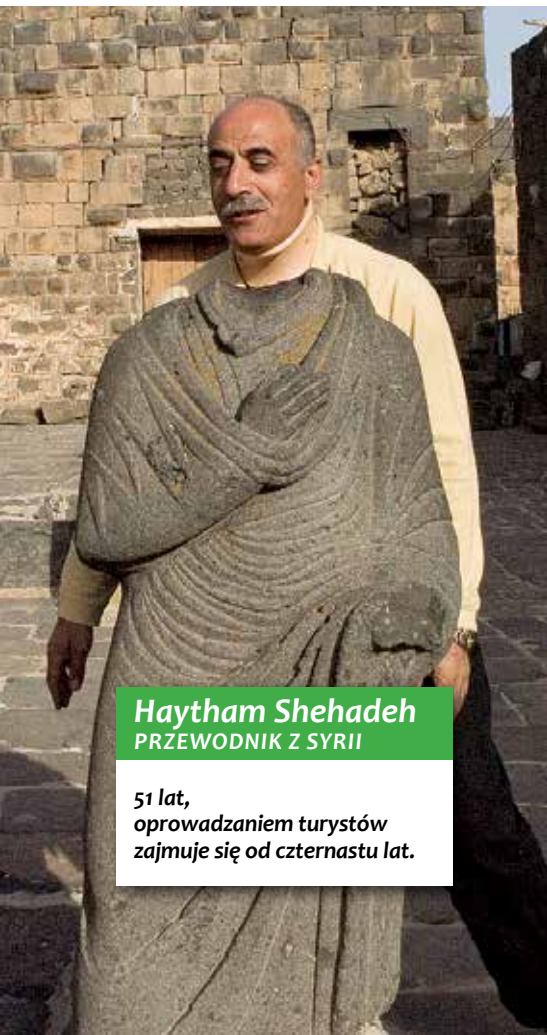
Może wcale nie fantazjują, ale rzeczywiście spotkali się z tajemniczym małym człowiekiem, o którym krążą legendy wzdłuż i wszerz całego Madagaskaru. A może nie. ○





# PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

PRZEWODNICY – TO DZIĘKI NIM POZNAJEMY NOWE ŚWIATY, NA OGÓŁ NIE PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE DLA NICH MY TEŻ JESTEŚMY ŹRÓDŁEM INFORMACJI. WYDAŁO NAM SIĘ CIEKAWIE DOWIEDZIEĆ SIĘ OD PRZEWODNIKÓW Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA, JAKIE MIELI DOŚWIADCZENIA Z TURYSTAMI.



**Haytham Shehadeh**  
PRZEWODNIK Z SYRII

51 lat,  
oprowadzaniem turystów  
zajmuje się od czternastu lat.

### **Jakie masz kwalifikacje, aby pracować jako przewodnik?**

Zdałem egzaminy wymagane przez Ministerstwo Turystyki Syrii i otrzymałem odpowiednią licencję. Wcześniej studiowałem na Amerykańskim Uniwersytecie Bejruckim w Libanie i, oczywiście, świetnie znam angielski.

### **Z jakich krajów pochodzą turyści, z którymi najczęściej pracujesz?**

Przede wszystkim są to Brytyjczycy, Amerykanie, Australijczycy ale także posługujący się językiem angielskim Holendrzy, Chińczycy, Rosjanie no i Polacy.

### **Kiedy pierwszy raz spotkałeś Polaków, czy coś ich twoim zdaniem wyróżniało?**

Z pierwszą polską wycieczką spotkałem się mniej więcej osiem lat temu. Przyjechali do Syrii na pięć dni. Zapamiętałem ich jako miłych ludzi. To pierwsze spotkanie z Polakami przypomina mi krawat, który wówczas od nich dostałem.

### **A co najbardziej zadziwia w Syrii Polaków?**

Tolerancja i zabytki. Dla wielu było zaskoczeniem to, że Syrię można zwiedzać, wędrując śladami Pawła Apostoła,

że są tu chrześcijańskie świątynie, w których modlą się wierni. Antyczne miasta, takie jak: Aleppo, Damaszek czy Basra, grecko-rzymska Palmyra, zamek Crac des Chevaliers czy forteca Saladyna to miejsca, w których turyści z Polski zrobili tyle zdjęć, że słysząc migawki ich aparatów, myślałem, że to pracuje maszyna do szycia.

### **O co najczęściej pytają turyści?**

Czy mogą się tu czuć bezpiecznie.

### **Czego dotyczą pytania z rodzaju najgłębszych i te, najciekawsze?**

Najgłębsze są pytania o czas zbiórki, bo muszę na nie odpowiadać wielokrotnie. Najciekawsze dotyczą sytuacji ekonomicznej Syrii, tego jak żyją tu ludzie – zwyczajów, tradycji i seksu.

### **Czy nauczyłeś się czegoś od turystów?**

Oczywiście, bardzo wiele. Na przykład Japończycy nauczyli mnie punktualności, to była cenna lekcja.

### **Co ci się najbardziej podoba w zachowaniu turystów?**

Ich szacunek i to, że wolny czas spędzają, ciesząc się życiem.

Shehadeh – Haitham  
Tourist Guide – English  
E-mail: H-viptor@scs-net.org  
tel. +963 0933-080018



# ROWEREM PO JEDWABNYM SZLAKU

Anna i Robert Robb Maciąg



PO: ROBERT MACIUS



PO: ROBERT MACIUS

Ruszyliśmy we trójkę. Ben, nasz kolega z Londynu i my, Ania i Robb. Na rowerach po Jedwabnym Szlaku. Przed nami było 10 tysięcy kilometrów przez pustynie i góry. Mieliśmy trochę pieniędzy i bardzo dużo czasu. Damaszek, Eufkrat, Buchara, Samarkanda, Kaszgar. Każda z tych nazw brzmiała jak z opowieści o nieistniejących krainach.

**O**dwiedzaliśmy je po kolei, spotykając niezwykłych ludzi, którzy swą pomocą i gościnnością ubarwiali naszą podróż. Po trzech miesiącach przyszedł czas na Turkmenistan.

Po sześciokilometrowej przeprawie przez płaskie, pustynne bezdroże oddzielające irańskie miasteczko Serakhs od granicy z Turkmenistanem, po drugiej stronie przejścia granicznego przywitał nas tęgi mężczyzna. Dosłownie przywitał, zbliżając się do nas z szeroko otwartymi ramionami, aż wyczuliśmy jego lekko alkoholowy oddech.

Okazało się, że oni – czyli obsługa baru i noclegowni dla kierowców ciężarówek – postanowili nas nakarmić. Stwierdzili, że zjeść trzeba i to dużo. Zrobili nam jajka, podali pierwszą w tej podró-





### OSIOŁ CZY WIELBŁĄD?

Do końca nie udało się nam ustalić, co jest tutaj bardziej popularnym środkiem transportu.

ży po Turkmenistanie lepioszkę i dzbanek czaju. Ktoś wyjął z lodówki butelkę wódki i wymownie nam ją pokazał, ale gdy powiedzieliśmy, że dla nas na wódkę za gorąco, schował z powrotem i tylko szczerze się uśmiechnął.

Zanim dojechalibyśmy do granicy i zanim ją przeszliśmy uciekł nam pierwszy dzień wizy. Wizę turystową mieliśmy tylko na 5 dni. A do przejechania było prawie 500 kilometrów. No i po drodze warto byłoby kogoś poznać, z kimś porozmawiać i czegoś się o tym kraju dowiedzieć. A rozmawiać się dało, bo po 16 latach od matury przypomniałem sobie język rosyjski. Tak niewiele wiedzieliśmy o Turkmenistanie, że aż żal byłoby go tylko przejechać.

prezydentem Turkmenistanu. Kraj był wyjątkowo zrusyfikowany i nikt do końca już nie pamiętał, co to znaczyło być Turkmenem. Turkmenbasza postanowił to zmienić w dość specyficzny sposób:

Lotnisko w stolicy, Aszchabadzie, nazwał: Port Lotniczy Turkmenbaszy. Portowe miasto Krasnowodzk przemianował w ten sam sposób. Swoim imieniem nazwał styczeń, przy okazji przemianowując nazwę miesiąca kwietnia na imię swojej matki.

Także wiele szkół i ulic otrzymało imię Turkmenbaszy. Nawet ponad trzystukilogramowy meteoryt, który spadł w Turkmenistanie w 1998 nazwano Turkmenbasza.

Kiedy przywódca rzucił palenie...następnego dnia zakazał palenia na ulicach całego kraju.

Lewy profil jego twarzy zdobił każdy zegar w kraju (i oczywiście wódkę „Turkmenbasza”)

W 2001 roku opublikował wielką księgę Ruhnama. Trzeba było ją nie tylko znać, ale odpowiadać z niej na wyrywki nawet w trakcie egzaminu... na prawo jazdy! W 2006 roku sam Turkmenbasza uznał i ogłosił, że bez znajomości Ruhnamy nie można wejść do... nieba.

W 2004 roku, zapowiedział, że na pustyni Karakum zbuduje wielki lodowy pałac obok którego powstanie zoo z pingwinami!

W 2006 roku przestał być prezydentem tego pustynnego kraju. Umarł.

Najdziwniejsze było to, że wszyscy spotkani Turkmeni dobrze go wspominali i tłumaczyli nam uparcie, że my Europej-

### DOBRY NA WSZYSTKO

Co wiedzieliśmy? Na przykład, że wizę turystyczną dostaje się razem z przewodnikiem, który pilnuje nas na każdym kroku.

Wiedzieliśmy, że kraj otaczają pustynie i kawałek Morza Kaspijskiego, że pod piaskami znajdują się drugie co do wielkości w świecie złoża gazu ziemnego.

Wiedzieliśmy także, że po upadku Turkmeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, w 1993 roku, Saparmyrata Nyýazowa, znany powszechnie jako Turkmenbasza – władca wszystkich Turkmenów, ogłosił się dożywotnim



**OLŚNIEWAJĄCY**  
Połączone popiersie Turkmenbaszy do dziś można zobaczyć w niejednym urzędzie.

czycy nie potrafimy tego zrozumieć. To co, że nie ma demokracji. To co, że Turkmenbasza stawiał sobie pomniki ze szczerego złota. Ale przecież dał ludziom chleb, pracę i szkoły.

## TOAST ZA PREZYDENTA

By zyskać na czasie, załadowaliśmy rowery do minibusu i podjechalśmy 80 kilometrów taksówką do miejscowości Hanhowuz. Stąd główną drogą mogliśmy dojechać do samego Uzbekistanu.

Chcieliśmy rozbić namiot nad wielkim, sztucznym jeziorem, ale mocno wstawieni policjanci przekonali nas, że się nie da i musieliśmy szukać noclegu przy kafe, czyli zajeździe dla kierowców. Na żwirowym parkingu stało kilkanaście wielkich ciężarówek, a ochroniarz kazał nam rozbić się pod latarnią, żeby nas widzieć. Tyle tylko, że do światła ściągwały chmury komarów. Jakoś udało nam się znaleźć kompromis. Właściciel kafe, zaprosił nas na kolację. Były ogórki, szaszлык i wódka.

– *Znowu wódka?*

– *Robert, pij! Musisz. U nas, rozumiesz, urodziny naszego kochanego prezydenta! Napić się trzeba, a ty, nasz gość, musisz wznieść toast! Nie ma, że się nie napijesz!*

I nagle, wszystko się wyjaśniło! Całe to pijaństwo było wielką imprezą urodzinową na cześć Gurbanguly Berdimuhamedowa, którego portrety towarzyszyły nam już od granicy.

## STOPEM PRZEZ PUSTKOWIE

Mijane po drodze wsie były jedynym urozmaiczeniem krajobrazu piaszczystej pustyni.

Wszystkie wyglądały tak samo – kilka identycznych domków wzniesionych z szarych cegieł przykrytych takimi samymi szarymi dachami z eternitu. Tak naprawdę nie były to żadne wsie, ale kołchozy. Wybudowane w czasach ZSRR i od 20 lat żyjące z dnia na dzień.

W Zahmet knajpka składała się z murowanego budynku i tarasu. Wewnątrz było kilka stołów przykrytych ceratą, pusty bar i kuchnia, a w niej czyjeś łóżko. Ruchu i życia dodawały jedynie stare wiatraki kręcące się ociężale pod sufitem.

Kupiliśmy coś zimnego do picia i wzięliśmy się za gotowanie. Trochę zrobiło się nam nieswojo, gdy właściciel przydrożnej, bądź co bądź restauracji, zamiast nas pogonić wyniósł nam plastikowy stół i krzesła.

Tutaj musieliśmy coś przedsięwziąć. Do końca wicy zostało nam tylko półtora dnia, a do granicy



170 kilometrów. Od najbliższego miasta – Turkmenabadu dzieliło nas 130 km pustkowia.

Musieliśmy podjechać autobusem. Pociąg nie wchodził w grę, choć zatrzymaliśmy się obok stacji kolejowej. Zawiodowca stacji wytłumaczył, że pociąg zatrzymuje się tylko na 2 minuty i nie ma szans, by zdążyć zapakować się z rowerami.

Kakysz, chłopak z kafe, postanowił poprosić o pomoc policjantów z drogówki. Nie byli bardzo chętni. Ale na drodze ruch był tak mały, że nie mieli wielu okazji, by się wykazać.

Po półtoragodzinnym czekaniu w cieniu posterunku wreszcie zatrzymali autobus, który wioził pracowników, wracających do domów w Turkmenabadzie po miesiącu pracy przy wydobyciu gazu.

Było ich siedmiu w różnym wieku. Wszyscy bardzo weseli. Jak dzieci robili sobie dowcipy.

W przerwach tej zaraźliwej wesołości, wypytywali o naszą podróż.

– *A ile taki rower kosztuje? Bo u nas na bazarze to za 100 dolarów już kupisz.*

– *A ile zarabia się w Polsce? Bo u nas to 200-300 dolarów.*

– *A mieszkanie ile kosztuje? U nas jest za darmo.*

– *Bo u nas, widzisz, woda, gaz, prąd i sól nic nie kosztuje. Najlepszy kraj na świecie!*

## CIEKAWI ŚWIATA

Turkmeńska pustynia trzyma ludzi zbitych w miastach. A miasta są daleko od siebie. Mało kto tu podróżuje. Drogi są zniszczone. Telefony co chwilę przestają działać. Na plakatach w miastach widać łany urodzajnych zbóż i stragany pełne dorodnych owoców. Natomiast w sklepach są tylko podstawowe produkty – sery i wysuszone warzywa,

### DRUGIE PO STOLICY

**Położony na brzegu Amu-darii Turkmenabad to drugie co do wielkości miasto kraju i ważny węzeł kolejowy.**



FOT. ANNA MACIĄG

## CHIP & DALE W TURKMENISTANIE

Tym razem wesole  
wiewiórki nie droczą  
się z kacorem  
Donaldem, lecz  
reklamują miejscowe  
lody.

na bazarach sprzedawcy handlują kiepskimi produktami made in China.

Gdy w Turkmenabadzie zaszliśmy na bazar zrobić kilka portretów, towarzyszyły nam uśmiechnięte spojrzenia i niemal przymus picia herbaty i snucia opowieści. Co rusz pytano nas:

– *A jak to jest w Polsce? A czy to jest dobry kraj do życia? I czy jest praca?*

– *Robert, zrobisz nam zdjęcie? Zarwieziesz do domu, pokażesz ojcu i matce i opowiesz o nas i jak my tu żyjemy.*

Czasem było tak: – *A wy z Ameryki? A nie, z Polski. A to szkoda.*

A czasem ciekawość budziła właśnie nasza polskość. Pięćdziesięcioletni mężczyźni wspominali swój pobyt w armii: w Legnicy, we Wrocławiu, w Jaworze..

– *Jawor znacie?*

– *Znamy, mieszkamy może 20 km od Jawora.*

– *Tam miałem kolegę, Witek mu było na imię.*

*To był świetny kolega.*

– *A kiedy to było?*

– *Gdzieś w 1976!*

Po drodze trójka rowerzystów okazywała się dobrze rozpoznawalna. Kierowcy tirów, ludzie spotykani w kafe i na bazarach wiedzieli, jakie mamy imiona i że jesteśmy: Paljaki i Ingliczanin?

Wyjeżdżaliśmy z Turkmenistanu z wrażeniem, że im bardziej władza nie chce w kraju turystów, tym bardziej ludzie, ci zwykli ludzie, są ich ciekawi. Bardziej pomocni, uśmiechnięci.

Nie znają turystów i ciągnących się za nimi łatwych pieniędzy. Ciekawi byli nas: Ani, Bena i Roberta, a nie „trójki turystów”.

W końcu stanęliśmy nad brzegiem potężnej Amu Darii. Naszej bramy do Uzbekistanu i żal nam było opuszczać kraj, który odsonił przed nami swą gościnność i szczerłość. Te 120 godzin zamienilibyśmy na 120 dni, ale prawo jest prawem i trzeba było wyjeżdżać. ○

W lipcu, nakładem wydawnictwa Bernardinum i Biblioteki Poznaj Świat ukazała się już druga książka Roberta. Tym razem o podróży w stronę Indii. Anna i Robert Robb Maciąg zapraszają na swoją stronę internetową [www.ku-sloncu.org](http://www.ku-sloncu.org).



FOT. SHUTTERSTOCK

**PRZYSTANEK AUTOBUSOWY  
NA PUSTYNI KARA-KUM**

Kto i po co zechce  
tu wysiąść?



FOT. ROMAN POLJEK

**DZIEWCZYNKI  
SĄ SKARBEM**

Tak nauczał  
w przełożonej na  
37 języków  
„Ruhnamie” wielki  
Turkmenbasza.



FOT. JANA MACIJS

# ASZCHABAD



**R**edakcja z zasady nie komentuje publikowanych tekstów. Wprawdzie niekiedy „wymknie” nam się coś na facebooku, ale tam przecież wolno więcej. Relacja Anny i Roberta Robba Maciągów z Turkmenistanu w jednym przypomina nam jednak wielką prozę Paula Theroux. W swej książce „Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem Wielkiego bazaru kolejowego” wydanej także pod patronatem miesięcznika „Poznaj Świat”, ten wielki amerykański pisarz, przejechawszy pociągiem przez Polskę, nie poświęcił jej nawet jednego zdania. Nie zauważył nas. Może to nawet lepiej, jeśli wziąć pod uwagę to, co napisał o Rumunii i Węgrzech.

Podobnie, choć z innych powodów, Anna i Robert Maciągowie, opisując Turkmenistan, omijają jego stolicę – Aszchabad. Tymczasem to zjawisko na pustyni! Miejsce, w którym jego mieszkańcy zajmują 200-metrowe apartamenty i nie muszą płacić czynszu, nie ma też opłat za wodę, prąd i gaz. Turysta może czuć się tu bezpiecznie, bo trudno w stolicy znaleźć miejsce, z którego nie widać milicjanta.

Ten fotoreportaż pozwoli lepiej zrozumieć turkmeńską tęsknotę za Wielkim Opiekunem-Turkmenbaszą. ○







FOT ROMAN ROJEK



FOT ROMAN ROJEK



FOT ROMAN ROJEK



FOT ROMAN ROJEK



FOT ROMAN ROJEK



# PLASTIC IS FANTASTIC

ZA WIELKIM OCEANEM, W TĘCZOWYM ŚWIECIE MTV I COCA-COLI, TAM GDZIE SZYBKIE SEKS SMAKUJE NAJLEPIEJ, KOBIETY ŻYJĄ WEDŁUG ZASADY „CARPE DIEM” I NIE OGLĄDAJĄ SIĘ ZA SIEBIE. PRAGMATYCZNE AMERYKANKI POZOSTAWIAJĄ SENTYMENTALIZM EUROPEJKOM.

**H**ollywoodzkie produkcje od lat oferują kolorowo bajeczny styl życia ludzi w Stanach Zjednoczonych. Bohaterki telenoweli to kobiety niezależne, silne i wpływowe. Amerykańskie seriale, uzmysławiają ludziom na całym świecie, że w tym kraju nie ma funkcji i stanowisk pracy niedostępnych dla kobiet. Wykonując często prestiżowe zawody zarezerwowane dla mężczyzn, świetnie radzą sobie jednocześnie jako gospodynie domowe i zmysłowe kochanki. Przykładami takich fikcyjnych „superwomen” są: adwokat Ally McBeal z serialu o tym samym tytule; wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Allen Mackenzie – bohaterka „Pani Prezydent” czy dziennikarka Carrie Bradshaw ze słynnego „Seksu w wielkim mieście”. Zdesperowane gospodynie domowe z serialu „Gotowe na wszystko”, zaprzeczając wszelkim wyobrażeniom idealnego życia, ostatecznie zawsze odnoszą zwycięstwo. Pomiędzy gotowaniem, praniem a wychowywaniem dzieci, kłamią, zdradzają i uzależniają się od leków psychotropowych, rozbijając w pył wszystkie szablonowe wyobrażenia na temat małżeństwa, rodziny czy relacji sąsiedzkich.

## ABECADŁO TU UPADŁO

Bohaterki serialu „Seks w wielkim mieście” w każdym odcinku wyglądają niczym niepodważalne ikony mody, tymczasem w rzeczywistości na ulicach Nowego Jorku najczęściej można spotkać kobiety, nieposiadające nawet minimalnego wyczucia stylu.

Pomimo przekonania o swoim głębokim patriotyzmie, amerykańskie dziewczyny, nie znają fabuły książki Margaret Mitchell pt. „Przeminęło z wiatrem”. Systematycznie wbudowywane w cywilizację wszystkich innych krajów świata, elementy ekspansywnej kultury amerykańskiej takie jak: Myszka Miki, džinsy Calvin Cleina czy kawa Starbucks to symbole, które dla amerykańskich nastolatek mają wymiar wręcz ideologiczny. Disney, McDonald's





FOT. SHUTTERSTOCK

czy MTV, odnosząc się do tego co proste, łatwe i szybkie, nie pozostawiają zbyt wiele miejsca na osobistą wyobraźnię, wrażliwość i sentymentalizm.

Popularnym dowcipem wśród amerykańskiej młodzieży jest hasło, iż „Chrystus też mówił po angielsku”. Większość Amerykanek nie uczy się obcych języków. Uważają, że ich język jest wystarczająco popularny na całym świecie. Kiedy w 1993 roku opublikowane zostały wyniki badań Departamentu Edukacji Stanów Zjednoczonych, zatytułowane: „umiejętność pisania i czytania w USA”, amerykańska opinia publiczna nie ukrywała zażenowania. Według tego raportu około 27 milionów Amerykanów to analfabeci. W 2009 roku liczbę tę określono na 32 miliony – czyli około 14 procent ludności USA. Znane uniwersytety nie przykładają wagi do ogólnego wykształcenia. Promując edukację pragmatyczną, lekceważą mało praktyczny humanizm. Przeciętny amerykański student posiada wiedzę rodem z telewizyjnych quizów. Zna każdy fakt związany ze zrzuceniem bomby na Hiroszimę: nazwisko pilota,

rok ataku, ciężar bomby, model samolotu, liczbę ofiar. Nie potrafi jednak wyrazić poglądu na sam fakt jej zrzucenia.

#### BARBIE JEST GRUBA

Triumfatorce z bestsellerów o „superwomen”, narzekają w rzeczywistym świecie, na brak społecznej równości kobiet i mężczyzn w USA. Według raportu Światowego Forum Ekonomicznego na temat równouprawnienia kobiet, kraj z którego pochodzą ikony emancypacji: Hilary Clinton i Condoleezza Rice, zajmuje dopiero siedemnastą pozycję na pięćdziesiąt jeden badanych państw. Batale dwóch słynnych amerykańskich feministek: Betty Friedan i Glorii Stein, o wiele trwalsze skutki wywarły na systemach społecznych w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Francji i Australii niż w USA. Paradoksalna sytuacja kobiet w Stanach Zjednoczonych polega na tym, iż startując z tego samego poziomu co mężczyźni, ostatecznie pozostają w tyle. W 1959 r. Amerykanka Ruth Handler wykreowała lalkę o imieniu Barbie. Był to początek nowej epoki w świecie zabawek.

Dziś trudno jest znaleźć dziewczynkę w wieku od 3 do 7 lat, która nie miałaby tej utopijnej miniaturki amerykańskiej „superwoman”. Pomimo, że w USA około 40 procent kobiet cierpi na nadwagę, Barbie ma figurę topmodelki. Zawsze jednakowo piękna i elegancka lalka, w ciągu 50 lat, przechodząc liczne metamorfozy, wcieliła się już w rolę: chirurga, wróżki, astronauty, syreny, a nawet... wolontariuszki UNICEF. ○


#### AGNIESZKA BARTUSIAK:



Z wykształcenia jest filologiem polskim i dziennikarką. Współpracuje z wieloma redakcjami. Jest modelką reprezentującą największe światowe agencje.



FOT. JERZYZJ MALIKA

A narrow alleyway in Sicily, with laundry hanging on lines on the left and a textured wall on the right. The scene is dimly lit, with a strong contrast between the bright laundry and the dark shadows of the alley.

Jędrzej Majka

# Sycylijski obrazek

Mężczyzna ten do dziś pozostaje niezidentyfikowany. Jego portret można zobaczyć w wielu miejscach, nie tylko na plakatach i pocztówkach. Popiersie przedstawione na ciemnym tle. Głowa obrócona w prawo, a oczy skierowane wprost na patrzącego. Tajemniczy uśmiech intryguje każdego przechodnia.



Antonello da Messina, portretując mężczyznę, większą wagę przywiązywał do jego emocji niż wyglądu. Portret nieznanego namalowany około 1470 roku jest prawdopodobnie pierwszym wizerunkiem uśmiechniętego mieszczanina. Są i tacy, którzy uważają, że płótno sycylijskiego mistrza stało się inspiracją dla Leonarda da Vinci. Renesansowe arcydzieło trafiło do Cefalu za sprawą barona Mandralisca, który odnalazł je

na wyspie Lipari, gdzie wstawione było w szafie, zamiast drzwi. Przywieziony do Cefalu obraz stał się natychmiast, obok znalezisk archeologicznych z czasów greckich i rzymskich, najważniejszym eksponatem kolekcji Mandralisca. Baron zmarł w roku 1864, a w testamencie swój dom i majątek zapisał miastu. Dziś jego kolekcję wraz z *Portretem nieznanego* można oglądać w Museo Mandralisca.

## PLOTKI I PRANIE

Trudno powiedzieć, kto pierwszy rozpoczyna dzień w Cefalu. Przed szóstą swój sklep otwiera Francesca. – *Nie wiem czy wstaje jako pierwsza, ale codziennie przed szóstą jestem w sklepie. Turycy rozpoczynają swój dzień za trzy, cztery godziny, ale oni do mnie nie zaglądną. Oni wolą kawiarnie, lodziarnie i sklepy z pamiątkami. U mnie makaron, oliwa i pomidory w puszcze* – mówi z uśmiechem.

Na pierwszy rzut oka Cefalu nie przypomina kurortu. Wczesnym rankiem trudno spotkać kogokolwiek na wąskich średniowiecznych uliczkach – *Spójrz na tamto okno, zaraz powinna się w nim pojawić Chiara. Codziennie o tej porze wieszka pranie* – informuje Francesca, chcąc tym samym udowodnić, że nie ona jedna już nie śpi. Po kilku minutach w oknie na drugim piętrze faktycznie pojawia się starsza pani. – *Buon giorno* – woła Francesca i w odpowiedzi słyszy to samo. Obserwuję, jak na rozciągniętych pomiędzy oknami sznurkach starszka w czarnej chustce wieszka pranie. Zapach świeżości szybko rozchodzi się wzdłuż kamienic. Widząc, że bacznie się jej przyglądam, Chiara uśmiecha się i macha serdecznie ręką. Kłaniam się i ja. Naszą bezsłowną komunikację przerywa Francesca, która nie potrafi wytrzymać w milczeniu. Natychmiast zasypuje Chiarę pytaniami. Zrozumiałem, że panie rozpoczęły codzienną pogawędkę, a ich rozmowę może przerwać tylko kolejny klient, żegnam się i ruszam dalej w poszukiwaniu porannej kawy.

Cefalu ma opinię najpiękniejszej miejscowości kąpieliskowej na Sycylii. Miasteczko położone jest na cyplu u stóp potężnej skały nad samym brzegiem morza. Ma zatem wszystko, czego można tylko zapragnąć. Lazurowe wody Morza Tyrreńskiego i wspaniałą piaszczystą plażę dla tych, którzy lubią

## WSZECHOBECNY UŚMIECH

**Obraz Antonello da Messina to cenne renesansowe dzieło i duma Cefalu. Mieszkańcy wieszają ten radosny wizerunek obok podobizn świętych.**





**ULICZNE PRANIE  
BRUDÓW**  
Ta średniowieczna  
pralnia arabska  
wykorzystywana była  
jeszcze w latach  
osiemdziesiątych XX  
wieku.



FOT. JEDRZEJ MAJKA

## PORT LA ROCCA

W sezonie turystycznym cichy i spokojny może wydawać się tylko z wysokości otaczających go gór.

poleniuchować. Góry dla tych, którzy lubią aktywnie spędzać wypoczynek. Zabytki i dzieła sztuki dla ich miłośników. I oczywiście, znakomitą kuchnię, dla takich, jak ja.

## ESPRESSO LUB CAPPUCCINO

Mówi się, że jako pierwsi mieszkali tu Giganci, a następnie przybył Herkules, by na olbrzymiej górze wybudować świątynię ku czci Jupitera. Samo miasto powstało nieco później, w piątym wieku przed Chrystusem, a jego strategiczne położenie miało niewątpliwy wpływ na historię. Cefalu przechodziło w ręce Greków, Rzymian, Arabów. Decydujące zmiany przyniósł rok 1064, kiedy to Normanowie odbili miasto Arabom i przebudowali je, by stało się symbolem odrodzonego chrześcijaństwa. Kilkadziesiąt lat później rozpoczęto budowę katedry, która do dziś jest symbolem miasta.

Wychodząc z labiryntu uliczek, dochodzę do Piazza del Duomo, kawiarnianego placu, przy którym stoi owa normańska katedra. Jej absydę zdobią bizantyjskie mozaiki datowane na pierwszą połowę XII wieku. Są one najstarsze i najlepiej zachowane ze

wszystkich, jakie można obejrzeć w sycylijskich świątyniach. Wewnątrz jest także 16 rzymskich kolumn, pochodzących prawdopodobnie ze świątyni Diany, której ruiny znajdują się na wzgórzu La Rocca.

– Przepraszam, byleś może na wzgórzu La Rocca? – pyta mnie siedząca przy sąsiednim stoliku Anna. Ją i jej męża Daana poznałem poprzedniego dnia na plaży. Sycylia jest miejscem podróży poślubnej tej pary Holendrów.

– Tak byłem – odpowiadam. – Na szczyt idzie się niecałą godzinę. Po drodze są znakomite widoki na miasto, ruiny świątyni Diany, a ze szczytu wspaniałe widoki na port. Dlaczego wybraliście Sycylię na podróż poślubną? – pytam z ciekawości.

– Włochy są takie romantyczne, a Sycylia owiana tajemnicą. Uwielbiam Gretę Garbo, a ona była zakonnicą w Sycylii. Przyjeżdżała do Taorminy, by zaznać tam ciszy i odpocząć. Dziś na pewno wybrałaby Cefalu. Taormina stała się zbyt turystyczna i komercyjna.

Tuż przed godziną dziewiątą wszystkie kawiarniane krzesła są już zajęte. Na stolikach stoją małe filiżanki z espresso, większe z cappuccino, talerzyki z rogalikami nadziewanymi nutellą lub marmola-





dą. Między porcelaną leżą przewodniki ze słowem Sycylia pisanym w różnych językach i dwustronne mapy z pobliskiego punktu informacji turystycznej. I tak, leniwe miasteczko po upływie kilku godzin przeistacza się w zatłoczony i gwarny kurort.

## PRODOTTI TIPICI

– *Zapraszam, wejdź, u mnie dostaniesz wszystko, co najlepsze na Sycylii. Wino. Oliwa. Sery. Ceramika z Caltagirone. Tradycyjne marionetki* – wykrzykuje Fabio. Młody sprzedawca prowadzi sklep wraz z rodzicami. To jeden z tych niewielu, które otwarte są w Cefalu przez cały dzień.

– *Wszystko, co sprzedajesz, pochodzi z Sycylii? Nic chińskiego?* – pytam.

– *Wino. Oliwa. Sery. Wszystko sycylijskie.*

– *A te wielkie muszle?*

– *Z morza* – odpowiada z uśmiechem Fabio.

Prawie każdy sklep przy głównej Corso Ruggero ma na szyldzie duży napis *Prodotti tipici*. I rzeczywiście, większość produktów jest miejscowa. Zachęcony przez sprzedawcę kupuję słoik z wielkimi kaparami i butelkę oliwy z tłoczni

z regionu Trapani, gdzie kilka dni wcześniej podziwiałem panwie solne, czyli prostokątne zbiorniki używane do wysuszania i krystalizacji soli morskiej. Saliny od XII wieku są wpisane w krajobraz wybrzeża między Trapani a Marsalą. Są one najstarsze i ostatnie na Sycylii.

– *A może kupisz triskeliona?* – zachęca Fabio.

Triskelion jest symbolem wyspy. Hybrydę składającą się z głowy Meduzy otoczonej trzema ludzkimi nogami można kupić w każdym sklepie czy na straganie dla turystów. Sprzedawcy zapewniają, że przynosi szczęście...

Ja przekonałem się o tym już pierwszego dnia. Jeden z takich ceramicznych triskelionów wisiał w hotelu, w którym się zatrzymałem. Recepcjonistka Lucia, wpisując moje dane do komputera, zauważyła, że podczas pobytu w Cefalu kończę trzydzieści pięć lat. Energicznie wstała z krzesła i podeszła do lodówki. Wyjęła butelkę białego wina i wręczyła mi w prezencie. Był to rocznik 2008 i pochodził z winnicy... tokańskiej. Toskańskie a nie sycylijskie? Wtedy nie zadałem tego pytania głośno.

## POSTĘP NA TRZECH NOGACH

**Triskelion, symbol z sycylijskiej flagi, stosowany był już w sztuce starożytnej. Jego znaczenie wiąże się z postępem i rywalizacją.**



## NORMAŃSKA KATEDRA

Świątynia powstała jako symbol zwycięstwa nad Arabami, choć ich wpływy zostały jednak w architekturze i zdobieniach wnętrza.

## ŚWIĘTA PAUZA

Około południa miasteczko znów pustoszeje. Miejscowi udają się na pauzę – tak nazywają to Włosi między sobą, w rozmowie z turystami używają słowa siesta, które pochodzi z hiszpańskiego i bardziej rozpowszechniło się na świecie. – *Jeszcze pięć minut i zamykamy* – informuje Georgio ze sklepu z rybami. Stoję i przyglądam się wielkiemu miecznikowi, który leży przy wejściu do sklepu. Małe sklepiki z rybami znajdują się w Cefalu niemal na każdej ulicy. Podobnie jak stragany z warzywami i owocami. Punktualnie o godzinie 12.30 wszystkie sklepy i urzędy są zamykane. Czas siesty potrwa do godziny 16.30. Miasteczko prawie wymiera. – *Dlaczego nie zamykam na siestę?* – Fabio z uśmiechem powtarza moje pytanie. – *Bo liczę na to, że coś u mnie kupisz.*

Jednak Fabio nie jest jedynym mieszkańcem Cefalu, który pracuje w czasie siesty. Otwarte są także wszystkie lodziarnie. Niejednego turystę zadziwi brioches gelato, czyli dwie kulki podawane w maślanej bułce. Tłumy turystów z takimi bułkami w ręce idą w stronę plaży, by tam przeczekać czas siesty.

## Z MAFIĄ NA PLAŻY

Lenistwo na plaży to obowiązkowy punkt w czasie pobytu w Cefalu. Obok mnie opala się trójka Brytyjczyków, dwie starsze panie wyglądające na

siostry i prawdopodobnie mąż jednej z nich. Panie rozmawiają, a pan pochłonięty jest lekturą książki Sycylijska mafia – fakty i mity Augusto Cavadięgo. Książkę tę wydaną w niemal wszystkich językach można kupić w sklepach, ma ją także w swojej ofercie Fabio.

Pływając w lazurowej wodzie i smażąc się na złotym piasku, szybko głodnieję. Idąc na kolację, wiem, co zamówię. Kartę przestudiowałem dokładnie poprzedniego dnia. Choć nie lubię restauracji polecanych w przewodnikach, tę polecała mi także Lucia z hotelu.

Restauracja Le Chat Noir mieszcząca się w siedemnastowiecznej kamienicy to interes rodzinny, gotuje tu papa Lillo. Na przystawkę sałatka z ośmiornicy, na danie główne stek z miecznika ze szpinakiem, a na deser Panna Cotta, choć waham się, czy nie będzie to Cassata Siciliana.

Espresso staje się dopełnieniem kolacji. Wracając, znów wchodzę w labirynt uliczek. Fabio powoli zamyka sklep. Idąc, od czasu do czasu zaglądam przez okna do oświetlonych mieszkań. Zazwyczaj jest to jeden pokój z kuchnią. W środku kanapa, stół, krzesła i telewizor. Na ścianie obowiązkowo święty obraz: Matka Boża, ojciec Pio i nowy błogosławiony – Jan Paweł II. Kolekcji dopełnia portret mężczyzny z intrygującym uśmiechem. ○

## ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Wywiad z Piotrem Gąsowskim –  
aktorem i prezydentem telewizyjnym

### Od dawna podróżujesz?

Od kiedy tylko pamiętam. Moje podróże zaczęły się od autostopu. O autostopie mógłbym napisać podręcznik: jak się ubrać, co pisać na kartkach, w jakich krajach łatwo się przemieszczać, a w jakich trudniej. Najgorsza była Belgia. W okresie posolidarnościowym nie pisałem kierunku jazdy, tylko: Je suis Polonais, przy czym Polonais literackim takim, jak w nazwie związku „Solidarność”. Ale tam i to nie robiło wrażenia. W końcu na kartce napisałem „Tokio”, co okazało się skuteczne. Pierwszy kierowca zatrzymał samochód, ale po to, by zwrócić mi uwagę, że do Tokio nie dojadę. Tym niemniej pomysł zadziałał i mnie zabrał.

**To przypomina moją podróż do Szwecji. Po koncercie spotkał się z artystą amerykańskiego artysty, którego nazwiska przez litość nie wspomnę. Zapytał mnie, jak dojechałem do Goeteborga. Odpowiedziałem, że samochodem. Po godzinie wrócił z mapą i powiedział: Kłamiesz. Nie przyjechałeś samochodem, tu jest woda! I pokazał mi Bałtyk między Szwecją i Polską. Obawiam się, że został przy swoim zdaniu, nawet, kiedy na parkingu zobaczył mój samochód. No cóż, spotkania w podróży obfitują w takie smaczki.**

Taaak. Podróżowanie to smak i zapach, a czasem smród. Ale per saldo jest OK. Zauważ, że potrawy są przygotowywane na potrzeby konkretnej szerokości geograficznej i religii. W Europie oburzamy się, że w Chinach, czy w Wietnamie jedzą psy. Natomiast ludzie w Indiach dziwią się, że my jemy krowy, a muzułmanie i Izraelczycy nie rozumieją, że zajadamy się wieprzowiną. Jadłem więc szczura, pająka, psa. Wprawdzie psa przez pomyłkę, bo Wietnamczyk mówił coś po angielsku, co brzmiało jak „kaczka”. Okazało się, że różnica między duck a dog jest niewielka w brzmieniu, ale duża w smaku.

**Kiedy podróżujesz z grupą artystów mieszkasz w dobrych hotelach, jednak w ten sposób nie bardzo poznaje się kraj i ludzi.**

Masz rację. Dlatego żeby naprawdę coś zwiedzić, muszę wyrwać czas na specjalne wyprawy. I wówczas mieszkam blisko ludzi. Potem mam tę satysfakcję, że gdy rozmawiam ze znajomymi, którzy byli w tych samych krajach co ja, mówią mi: słuchaj, ty byłeś zupełnie gdzie indziej. Oczywiście, gdy jadę do Stanów, to nie śpię na plaży, bo to bez sensu. Ale też w Bangladeszu nie śpię w slamsach, bo to grozi śmiercią lub kalectwem. Poza tym w małych lokalnych hotelach spotykam się z uśmiechniętą obsługą. I jest to uśmiech prawdziwy, a nie z castingu.

**Kiedyś, gdy robiliśmy program telewizyjny zjechałeś na tyrolce – linie służącej do szybkich zjazdów.**

Ja chyba lubię się bać. Obawa przed tym co będzie, to taki podróżniczy afrodyzjak. W czasie podróży walczę ze swoimi fobiami. Dlatego mając lęk wysokości skoczyłem na banji. Odbiło się to na moście granicznym między Zimbabwem a Zambią, zawieszonym na wysokości 120 metrów. Jak ja to zrobiłem? Z trudem... Najpierw ważenie... Potem na wszelki wypadek zapytałem, czy jak się wycofam, to dostanę zwrot moich stu dolarów? Nie! Stałem więc nad przepaścią... Już czułem, że nie skoczę, ale nagle dostrzegłem faceta z kamerą. Chciało mi się płakać, zęgnąłem się ze światem, ale na widok kamery zwyciężyła próżność aktorska. Skoczyłem... ○

Marek Szpendowski: właściciel agencji „Viva Art”; organizator m.in. koncertów Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona i zespołu The Rolling Stones; także producent filmowy.



FOT. KATARZYNA BAWKA



FOT. SHUTTERSTOCK

# BISKUPIE KSIĘSTWO

Marek Kotlarz

Warmia leży w cieniu Wielkich Jezior. Jaki sposobem jeziora mogą rzucać cień? Z punktu widzenia fizyki, to niemożliwe, ale tak się właśnie dzieje, przynajmniej począwszy od 1945 roku, gdy obszar Prus Wschodnich decyzją przywódców alianckich mocarstw włączony został do Polski. Odtąd rzesze turystów upodobały sobie mazurskie jeziora, zapominając o Warmii.

## CHYBA SZCZĘŚLIWIE

...dla niej. Trudno jest w Polsce, może poza Kaszubami, znaleźć tak malownicze połączenia pokrytych łąkami i porośniętych lasami pagórków i dolin z szaroniebieskimi plamami stawów i jezior. Są tu takie miejsca, gdzie podczas czerwcowej nocy obserwować można łunę przesuwającego się poniżej linii horyzontu słońca. Miejsca, gdzie zmierzch splata się ze świtem, a przeszłość z teraźniejszością.

## WARMIA BEZ WARMÓW

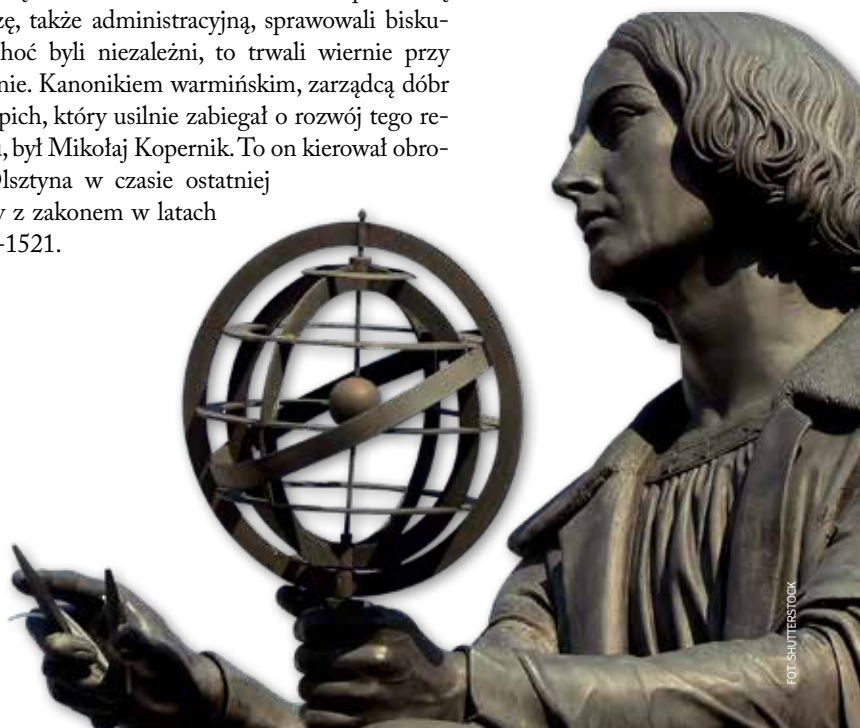
Na mapie północno-wschodniej Polski kształt Warmii przypomina rozkołysany dzwon. Dzisiaj niewiele osób jest w stanie odróżnić ten obszar od terenów nazywanych umownie Mazurami. Jednak w przeszłości, a dokładniej od pokoju toruńskiego z roku 1466, gdy region ten włączony został do Korony, rozróżnienie to miało olbrzymie znaczenie. A wpływ tych terenów na losy Polski sięga znacznie odleglejszych dziejów.

W okresie formowania się państwa polskiego tereny od Żuław na zachodzie, po Suwalszczyznę na wschodzie, zamieszkiwały bałtyjskie plemiona Prusów. To przez ich łupieżcze wypady na południe książę Konrad Mazowiecki zaprosił do Polski rycerzy z czarnym krzyżem na płaszczach. Zakon Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego wytepił Prusów i stworzył na zamieszkiwanych przez nich terenach własne państwo. Prusowie nie pozostawili po sobie zbyt wielu materialnych pamiątek, pamięć o nich przetrwała

jednak w nazwach, takich właśnie jak Warmia, na której obszarze zamieszkiwało pruskie plemię Warmów. Wyniszczone przez wojnę i opustoszałe tereny wymagały zagospodarowania. Zakonni administratorzy, począwszy od XIV wieku, zachęcali do osadnictwa. Kolejnymi falami na te tereny przybywać zaczęli również Mazowszanie. Największy ich napływ miał miejsce w XV wieku, gdy Krzyżacy musieli oddać ten region we władanie Kazimierza Jagiellończyka.

## DOWÓDCA KOPERNIK

W Księstwie Warmińskim niemal niepodzielną władzę, także administracyjną, sprawowali biskupi. Choć byli niezależni, to trwali wiernie przy Koronie. Kanonikiem warmińskim, zarządcą dóbr biskupich, który usilnie zabiegał o rozwój tego regionu, był Mikołaj Kopernik. To on kierował obroną Olsztyna w czasie ostatniej wojny z zakonem w latach 1519-1521.





FOT. MAREK KOTLARZ



FOT. MAREK KOTLARZ

## SANKTUARIUM MATKI BOŻEJ GIĘTRZWAŁDZKIEJ

**Na świecie jest tylko jedna takie jak to miejsc, gdzie Kościół potwierdził objawienie Matki Boskiej.**

## POLSKIE LOURDES

Niewiele osób zdaje sobie sprawę z faktu, że jedynym uznanym oficjalnie przez władzę Kościoła miejscem maryjnych objawień w Polsce jest warmiński Giętrzwald. Choć Polska obfituje w miejsca, gdzie Maryja Panna otoczona jest szczególnym kultem, tylko tamtejsze objawienia z roku 1877 doczekały się oficjalnej aprobaty.

Giętrzwaldzkie sanktuarium jest pięknie położone. To miejsce urokliwe, skłaniające do modlitwy lub refleksji. Nie ma w nim nic z komercji ani z pośpiechu wielkiego świata. Tu, jeśli bywa tłoczniej niż zazwyczaj, to nie z powodu turystów, ale pątników. Na długo przedtem, zanim w Giętrzwaldzie doszło do objawień, żywy był tu kult Maryi Panny. Najpierw związany z figurą gotyckiej Piety, a potem obrazem Maryi z Dzieciątkiem. Wówczas jednak kult miał tylko charakter lokalny.

W roku 1877, gdy proboszczem zagubionej w Prusach parafii był Niemiec, Augustyn Weichsel, doszło tu do zadziwiających wydarzeń. Najpierw

trzynastoletnia Justyna Szafryńska, a potem jej kuzynka Barbara Samulowska, dojrzały w koronie rosnącej przed kościołem lipy postać kobiety, przekazującej orędzie. Przeprowadzono śledztwo, przesłuchiowano dziewczyny oddzielnie, a jednak ich zeznania zawsze się zgadzały. Oficjalne uznanie nastąpiło sto lat później, w 1977 roku. W pobliżu kościoła wypływa źródelko, a samo miejsce odnotowało setki dobrze udokumentowanych uzdrowień.

## GRANICZNE KAPLICZKI

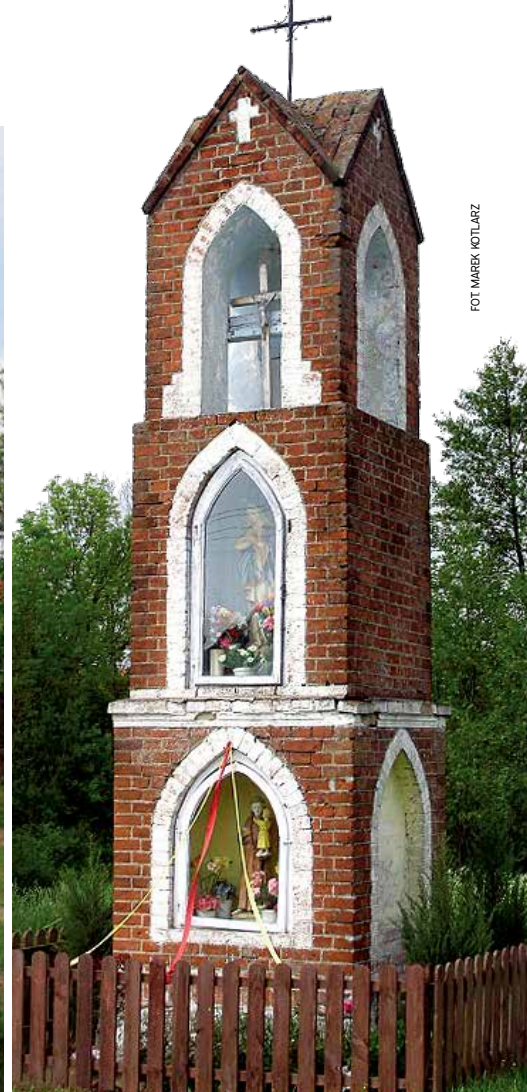
Wiele osób pyta, gdzie zaczyna i kończy się Warmia. Opisywanie jej granic nie jest łatwe. Na północy to wąski skrawek łądy łączący Warmię z Pomorzem. Na południu to już szeroka przestrzeń, której nie wyznaczają granice, takie jak rzeki czy wstęgi dróg. Tam gdzie napotkasz przydrożną kapliczkę z figurką Maryi Panny, tam zaczyna się Warmia. Bo Warmia jest królestwem maryjnych kapliczek.



FOT. MAREK KOTLARZ



FOT. MAREK KOTLARZ



FOT. MAREK KOTLARZ

To zabytki przeszłości i tożsamość obecnych mieszkańców. Nadal gromadzą się przed nimi coraz mniej liczni czciciele na majowych nabożeństwach. Kapliczki, choć zazwyczaj zaniedbane, bo brakuje pieniędzy na ich renowację, zawsze w marne święta są przystrojone świeżymi kwiatami.

## ZAMKI I KOŚCIOŁY

Warmia, poza urokliwymi krajobrazami i nieskazitelną naturą, oferuje turystom wiele godnych odwiedzenia zabytków architektury, takich choćby jak zamki we Fromborku, Olsztynie czy Lidzbarku. Jednak prawdziwymi klejnotami są jej kościoły. Początek ich sięga późnego gotyku, a znaleźć je można i w miastach, i na wsiach. Te ostatnie zachwycają szczególnie. Wyrastają wysoko ponad niską zabudowę domów. Wiele z nich zachowało kwadratową, drewnianą lub częściowo drewnianą wieżę. Charakterystyczne jest połączenie kamieni polnych i czerwonej cegły oraz prostota bryły. Ko-

ścioły lokowano w ten sposób, by jeden mógł służyć mieszkańcom dwóch wiosek. Wydany w Warszawie w 1881 roku „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego” donosił: „W ogóle lud tutejszy, jak i w całej okolicy, bardzo jest pobożny”.

## ALIANCI Z WARSZAWY

Po 1945 roku dawnych mieszkańców uznawanych za Niemców wysiedlano lub oni sami woleli opuścić to miejsce z obawy przed sowieckimi przesładowaniami. Potem tereny te zasiedlili przybysze z Kresów lub, zmuszeni do tego w ramach Akcji Wisła, Łemkowie i Ukraińcy z terenów Bieszczad i Beskidu Niskiego. Ostatni dawni mieszkańcy wyjeżdżali do Niemiec w czasach Gomułki i Gierka. Ich miejsce zajęli głównie warszawiaczy uprawiający wolne zawody. Nazywali siebie „aliantami”, dla odróżnienia od „tubylców”, którzy osiedlili się tu po 1945 roku. A jak nazwać szczególnie liczne tu bociany czy też bobry budujące swe żeremia na malowniczo wijącej się Pasłęce? ○

## SPUŚCIZNA

**Kapliczki przydrożne mają stary rodowód. Najstarsze są w Dobrągu (1601 r.) i Barczewie (1607 r.).**

# KAJAKAMI W ZACHODNICH FIORDACH

Marek Weckwerth

Islandzki Horn postanowiła opłynąć grupa sześciu bydgoskich kajakarzy morskich. Właściwa nazwa tego skalnego przylądka, który ponad półkilometrową skałą wznosi się ponad Oceanem Arktycznym, brzmi Hornbjarg. Znajduje się on w Zachodnich Fiordach – północno-zachodnim regionie kraju.

FOT. MAREK KWACZONEK



Taki wyjazd wymagał solidnych przygotowań. Uczestnicy wyprawy najbardziej bali się pogody. Kapryśnej i nieprzewidywalnej o każdej porze roku.

– *Przygotowując się do tego wyjazdu dokładnie przeanalizowaliśmy warunki meteorologiczne panujące na tych akwenach. Wynikało z nich, że w Zachodnich Fiordach najspokojniejszy jest czerwiec* – zapewnił szef wyprawy kajakarzy Marek Kwaczonek.

Wyzwaniem mogło być przepływanie kajakami przez wartki nurt Prądu Zatokowego, który opływa wybrzeże Islandii. Niebezpieczeństwo groziło w związku z pływami – podnoszeniem i opadaniem poziomu wody w oceanie – które tutaj dochodzą nawet do 2 metrów, powodując wiry i strome fale.

## OCEAN ŁASKAWY

Pierwszy morski etap zaczynał się w porcie Bolungarvik. To wysunięta najdalej na północ i najbardziej wyizolowana osada tego kraju. Islandię zamieszkuje niespełna 300 tysięcy osób.

W okręgu Zachodnie Fiordy żyje ich osiem tysięcy. W odległym Bolungarvik mieszka zaledwie osiemset osób, w tym setka Polaków. Tak jak w całej Islandii, życie tutejszych mieszkańców związane jest z rybołówstwem.

Na spotkanie z przygodą kajakarze i ich kajaki wypłynęli na pokładzie statku „Cleopatra”, który dowiózł ich do zatoki Hornvik na wybrzeżu Hornstrandir. Tutaj, na czarnej wulkanicznej plaży, rozstawione zostały namioty. Było już po północy, gdy zwodowali kajaki i zanurzyli wiosła. Morze było gładkie jak lustro.

– *Pogoda sprawiła nam niespodziankę. Nieprzydatne okazały się nasze sztormowe ubrania. Nie mieliśmy też okazji sprawdzić umiejętności nabytych podczas przygotowawczych treningów. Ocean pozostał spokojny do końca wyprawy* – relacjonuje nieco zawiedziony Marek Kwaczonek.

Skała Hornu odbijała promienie zachodzącego słońca, które w czerwcu na wysokości Koła Podbiegunowego nie zachodzi. O trzeciej rano, dotknąwszy tylko linii horyzontu, zaczęło się wznosić.

## PULAPKI PÓŁNOCY

Po opłynięciu skały kajakarze zostawili kajaki na brzegu zatoki Hornvik, żeby wejść na szczyt Hornbjargu. Choć był tu wytyczony szlak, wędrowniaka okazała się dość forsowna i wymagała ostrożności. Klif pochłonął już wiele ofiar.



Kolejnego dnia wyprawy pogoda jednak zmieniła się – wodę spowiła gęsta mgła.

– *Widoczność spadła do kilkudziesięciu metrów. Trzymaliśmy się blisko siebie. Bez przyrządów nawigacyjnych moglibyśmy pobłądzić, wypłynąć gdzieś hen, na ocean* – tłumaczył Marek Kwaczonek.

Ciekawym doświadczeniem kajakowania w przybrzeżnych wodach Oceanu Arktycznego była ocena odległości. Bardzo złudna. Wydawało się, że skalny cypel, do którego zmierzali, jest w zasięgu ręki – wystarczy jeszcze dwadzieścia minut wiosłowania. Tymczasem nieraz trzeba było płynąć ponad godzinę.

## W DRODZE NA SZCZYT HORNBJARGU

Wędrowniaka na szczyt przypominała tatrzańską wyrpę, czyli intensywną górską wyprawę.





**KRYSTALICZNIE  
CZYSTE POWIETRZE  
PRZESZKADZA...**

...w oszacowaniu odległości. Wszystko wydaje się być bliżej niż jest w rzeczywistości.

FOT. MAREK KWACIŃSKI



**Kamila Lewnau**  
Biuro Ubezpieczeń  
Indywidualnych  
Ergo Hestii

Zaplanowanie trasy, dobranie odpowiedniego sprzętu, ale również przygotowanie się kondycyjnie ma przed taką, kajakową, wyprawą ogromne znaczenie.

Z ubezpieczeniem postępujemy podobnie. Z wyborem odpowiedniej polisy nie wolno czekać na ostatni moment. Warto wcześniej zapoznać się z ofertami towarzystw ubezpieczeniowych i dokładnie sprawdzić warunki, jakie oferują w ramach polisy – nie tylko sugerować się ceną ubezpieczenia. Najważniejsze są nasze potrzeby – jeżeli wybieramy się w trasę kajakiem, potrzebujemy zupełnie innej ochrony aniżeli osoby wykupujące wycieczkę all-inclusive. Sprawdźmy zakres ubezpieczenia, upewniając się – czy ubezpieczenie bagażu obejmie przewożony sprzęt sportowy, czy pozwala nam na skorzystanie z pomocy lekarza, czy też ratownika, i tym podobne. Zweryfikujmy także, jakie limity odpowiedzialności oferuje nam ubezpieczyciel. To wszystko ma znaczenie.



## MIĘDZY EUROPĄ A AMERYKĄ

W tym miejscu  
oba kontynenty  
dzieli odległość  
nie większa niż  
szerokość ramion.

Uczestnicy wyprawy:  
Marek Kwaczonek  
Tomasz Szymczak  
Janusz Podgórski  
Aleksander Szyjanowski  
Mariusz Steinborn  
Dionizy Fanslau

FOT. ALEKSANDER SZYJANOWSKI

## DAĆ NURKA MIĘDZY KONTYMENTY

Po wiosłowaniu wreszcie przyszedł czas na turystykę i nurkowanie. Trójka bydgoszczan: Tomasz Szymczak, Janusz Podgórski i Aleksander Szyjanowski to doświadczeni pletwonurkowie, nie mogli więc sobie odmówić zejścia pod wodę w tak odległym i egzotycznym zakątku świata.

Przez Islandię przechodzą dwie płyty tektoniczne – europejska i amerykańska – które oddalają się od siebie w rocznym tempie 2 cm. Uskok przebiega – z południowego zachodu ku północnemu wschodowi wyspy, przecinając między innymi dolinę Pingvellir i jezioro Pingvellir.

– W tym jeziorze nurkowaliśmy w rozpadlinie pomiędzy Europą a Ameryką. Wydarzenie to było dla nas niezwykle ekscytujące – powiedział Tomasz Szymczak. – Jezioro jest zasilane wodami spływającej z lodowca rzeki Öxará. Pod wodą widoczność była doskonała. Wielu pletwonurków twierdzi, że pod względem przezroczystości wody jest to trzecie miejsce na świecie. ○

## NA TRAWERSIE HORNBJARGU

Uczestnik wyprawy  
Marek Kwaczonek.



FOT. ALEKSANDER SZYJANOWSKI

# NA WODZIE

W ostatnich latach co raz popularniejsze staje się podróżowanie kajakiem. Czy to krótkie jednodniowe wycieczki, czy tygodniowe spływy. Kajaki widać na jeziorach, rzekach i co raz częściej na morzu. Chcąc Państwa zachęcić do tego rodzaju aktywności, prezentujemy kilka najpotrzebniejszych produktów, z których niektóre sprawdzą się również podczas żeglowania.

Cena: 5.035,94 zł  
www.makanu24.pl



## PERCEPTION ESSENCE 17

Uniwersalny i szybki kajak morski do pływania na większych jeziorach i rzekach. Kajak ma głęboki i wysoki kokpit. Zapewnia miejsce dla wysokich kajakarzy z dużym rozmiarem stopy. Wbudowane trzy luki bagażowe. Praktyczne wyposażenie kokpitu; ergonomiczne i regulowane siedzisko oraz oparcie. W standardzie regulowane podnóżki i skrzydełka. Opcjonalne wyposażenie: kompas, ster. Długość 518 cm, szerokość 58 cm, waga 26 kg, maks. załadunek 160 kg



Cena: 880 zł  
www.makanu24.pl

## YAK CONQUEST

Profesjonalna kurtka do sportów wodnych. Zastosowano lekki, wodoodporny i oddychający materiał – tri-laminat zapewniający duży komfort. Posiada podklejane szwy, wygodny w pełni regulowany kaptur chowany w kołnierzu, regulowany pas neoprenowy. Z przodu kurtka ma dużą zamykaną z dwóch stron kieszeń z ciepłym fleece'em na ogrzanie dłoni. Dodatkowo, wysokiej jakości bryzgoszczelne zamki YKK z odbłaskowym nadrukiem docenimy przy niesprzyjającej aurze.

## SILVA 58 KAYAK

Wersja kompasu 58 przeznaczona dla kajakarzy. Posiada linki ułatwiające przymocowanie do kajaka. Jego dokładność wynosząca  $\pm 1^\circ$  oraz podziałka co  $10^\circ$  pozwalają na dokładną nawigację. Może być stosowany w różnych warunkach dzięki dużemu zakresowi temp.  $-10^\circ\text{C}$  do  $+70^\circ\text{C}$ .



Cena: 321,62 zł  
www.silva.se



## SEALLINE ZIP DUFFLE

Duża, wodoszczelna i bardzo wytrzymała torba przyda się nie tylko na łodzi czy zagłównce. Wyjeżdżając w deszczowe regiony doceniemy niezawodność Zip Duffle, a jej wzmacniane dno pozwoli przetransportować znaczne ciężary.

Cena: 40 l - 249,90 zł  
75 l - 349,90 zł  
[www.paker.com.pl](http://www.paker.com.pl)



## YAK KONTOUR

Kask dla kajakarzy. Nieodzowny podczas pływania po wodach górskich i zwałkowych. Przydatny podczas pływania w przyboju (załamaniu fal w strefie przybrzeżnej).  
Bezpieczeństwo przede wszystkim.



Cena: 175 zł  
[www.makanu.com.pl](http://www.makanu.com.pl)



# EDG

## Popatrz dalej

Nieskazitelną klarowność obrazów, niezrównaną ostrość...  
to jakby zupełnie na nowo zobaczyć cel.

To właśnie jest optyka serii EDG w akcji. To samo szkło optyczne, które zyskało sławę w obiektywach Nikkor, wielowarstwowe powłoki antyodblaskowe oraz inne zaawansowane technologie produkcji i montażu.

Teraz również w lornetkach, na które tak długo czekałeś.

Teraz, gdy trzymasz taką lornetkę w dłoniach, sezon może się rozpocząć.

EDG 8x42

# Nikon Sport Optics



## SEALLINE BOUNDARY PACK

Wodoszczelne worki Sealline są niezawodne dzięki drobiazgowemu projektowaniu i testowaniu. Dzięki ergonomiczności potrafią na stałe zagościć u zwykłego turysty kajakowego jak również na profesjonalnych wyprawach. Dzięki wielkiej różnorodności worków (modele i ich różne pojemności), każdy może dobrać worek do własnych potrzeb.

Cena: 35 l - 296,90 zł  
70 l - 349,90 zł  
115 l - 379,90 zł  
[www.paker.com.pl](http://www.paker.com.pl)

## HENRI LLOYD PACE SMOCK

Bluza z oddychającego i w 100% wodoodpornego materiału TP. Przy szyi i rękawach znajdują się gilzy chroniące przed dostaniem się wody. Posiada dużą kieszeń z przodu i małą na rękawie. Funkcjonalnie i elegancko – typowe dla marki Henri Lloyd.

Cena: 390 zł  
[www.henrilloyd.pl](http://www.henrilloyd.pl)



## HENRI LLOYD OCTANE WINDSTOPPER SHORT

Produkty Windstopper łączą w sobie ochronę przed wiatrem i ekstremalną oddychalność. Dzięki użyciu wielowarstwowej tkaniny otrzymuje się lepszą rozciągliwość i oddychalność. Laminowane zamki gwarantują skuteczną ochronę przed wodą dla rzeczy schowanych w trzech kieszeniach.

Cena: 440 zł  
[www.henrilloyd.pl](http://www.henrilloyd.pl)



Idealna kamizelka na dłuższe wyprawy kajakowe i do kajakarstwa morskiego. Przemyślana konstrukcja, wysoka jakość materiałów i wykończenia. Przydatne kieszenie na przodzie kamizelki oraz kieszeń na plecach – idealna na bukłak na wodę. Dodatkowy zamek z boku ułatwiający zakładanie. Klamry na ramionach i talii oraz ściągacz na dole kamizelki gwarantują dobre dopasowanie. Taśmy są przesyte odbłaskowymi nićmi.

Cena: 360 zł  
[www.crewsaver.pl](http://www.crewsaver.pl)

## NU DOLPHIN LITE

Wodoszczelny odtwarzacz MP3 o nowoczesnej zintegrowanej budowie. Nadzwyczaj funkcjonalny i intuicyjny w obsłudze. Odtwarzacz zintegrowany z wodoszczelnymi słuchawkami, zakładanymi na głowę. Może być wykorzystywany podczas pływania oraz uprawiania wszelkiego rodzaju sportów wodnych. Nowoczesna wytrzymała wbudowana bateria ładowana przez łącze USB umożliwia aż do 12 godzin odtwarzania po pełnym naładowaniu.

Cena: 398 zł  
 za wersję 2 GB  
[www.amstrade.eu](http://www.amstrade.eu)



Reklama

# Kajaki, kanu, odzież kajakowa



[yak-paddling.com](http://yak-paddling.com)  
 adventure equipment

Dystrybucja:  
**MAKANU**

[www.crewsaver.pl](http://www.crewsaver.pl)  
[www.makanu.com.pl](http://www.makanu.com.pl)  
 Tel/Fax 52 348 50 78





## Z Kurpi pod Jasną Górę



Wśród jasnogórskich pielgrzymów Kurpie zawsze wyróżniali się ubiorem. Jednak ten dzisiejszy nie jest tak paradny, jak ludowy strój z czasów przedwojennych. Na zdjęciu uwieczniona została kurpiowska pielgrzymka z 1937 roku. Kobiety mają na sobie koszule z bogatym haftem na kołnierzach i mankietach. Ubiór uzupełnia samodziałowa spódnica z przyszytym barwnym stanikiem, w gwarze kurpiowskiej zwanym „kiecką z kabatem”, a przewiązany ozdobny fartuch nazywa się „zapaśny”.

Na zdjęciu zwracają uwagę damskie nakrycia głów. Wysokie czułka z czarnego aksamitu, zdobione sztucznymi kwiatami, cekinami lub wstążkami wkładały dziewczęta i to tylko na specjalną okazję. Mężatki mają na głowie tzw. cypek z kapturem lub „cypek ze skrzydłami” wykonany z tiulu. Ulubioną ozdobą żeńskiego stroju były (i są do dzisiaj) korale z bursztynu, który wciąż można znaleźć na Kurpiach.

Widoczni na zdjęciu pielgrzymi z Myszyńca, Kadziła i Łysego musieli w drodze do Częstochowy przejść prawie 400 kilometrów.



**TIMOR WSCHODNI**



**NEPAL**



**BESKID NISKI**

## *Poznaj Świat*

**Redaktor naczelna:**  
Dorota Kobierowska-Dębiec

**Zespół i współpracownicy:**  
Wojciech Albiński, Ryszard Bađowski,  
Józef Baran, Paweł Chara,  
Marek Kamiński, Grzegorz Kapla,  
Robert Mazurek, Beata Pawlikowska,  
Katarzyna Rojek, Dariusz Rosiak,  
Marek Szpendowski

**Adres redakcji:**  
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk  
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl  
tel. 535 444 980, 535 444 990, 583 508 464  
www.poznaj-swiat.pl

**Wydawnictwo:**  
PROBIER  
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.  
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk  
**KONTO DLA PRENUMERATORÓW:**  
**02 1140 1065 0000 2155 8200 1004**  
tel. 58 304 73 97

**Dyrektor wydawniczy:**  
Dariusz Małkowski  
e-mail: dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl

**Koordynator do spraw wydawniczych:**  
Beata Pernak

**Nieoceniona pomoc techniczna:**  
Robert Krygier

**Produkcja i Prepress:**  
Artur Bury, Julia Michalczewska

**Druk:**  
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

**Dystrybucja:**  
TM Media Mirosław Tański

**Reklama:**  
Grzegorz Miedziński  
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl  
tel. 501 641 706

Aleksandra Harasimiuk  
ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl  
tel. 664 115 333

Olga Kołakowska  
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl  
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.  
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów  
i opracowania redakcyjnego tekstów.



VISIT  
NORWAY  
.PL

# NORWEGIA

## ODKRYJ MOC NATURY

Tego lata wybierz się na wakacje do Norwegii i odkryj moc natury. Poczuj przyływ energii wędrując po lodowcu i płynąc kajakiem po spokojnych wodach fiordu. Wyrusz na daleką północ, do krainy białych nocy, gdzie latem słońce nie zachodzi za horyzont. Wejdz na [visitnorway.pl](http://visitnorway.pl) i zaplanuj swoją podróż marzeń.

 **NORWAY**  
POWERED BY NATURE  
[www.visitnorway.pl](http://www.visitnorway.pl)

where next

**GARMIN**<sup>®</sup>



TURYSTYCZNA NAWIGACJA GPS,  
KTÓRA SPRAWDZA SIĘ NA DRODZE  
I DALEKO OD LĄDU

Nowe urządzenie Garmin Montana z 4-calowym, dotykowym wyświetlaczem i zaawansowaną obsługą map, nie tylko umożliwi nawigację na wodzie, drodze i w terenie, ale również płynnie przelacza się między poziomym i pionowym trybem pracy.

[www.garmin.pl](http://www.garmin.pl)